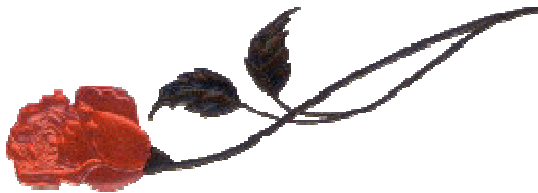




PATRICIA HAGAN  
Gliniarze  
i całusy

(Groom on the Run)

Przełożyła Barbara Osuchowska



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Był to jeden z tych ponurych i beznadziejnych dni, w które Liz Casey, policjantka z Birmingham, nie wstając z łóżka, pragnęła zadzwonić na posterunek i powiedzieć, że jest chora, a potem naciągnąć kołdrę na głowę i nadal pograć się w śnie.

Od rana deszcz padał bez przerwy. Jezdnie były śliskie, a to oznaczało więcej niż zwykle stłuczek i wypadków. Ze względu na ubezpieczenie Liz musiała starannie wypełniać wszystkie rubryki formularzy. Potem, jeśli okaże się to konieczne, będzie zeznawała w sądzie. Od rzetelności policyjnego protokołu wypadku często zależy wynik sprawy.

Mimo peleryny kompletnie przemokła, tak silne były podmuchy wiatru z deszczem. Chcąc, aby jak najszybciej można było odciągnąć na bok uszkodzone samochody i przywrócić na jezdni normalny ruch, nie mogła trzymać nad głową parasola, równocześnie opisywać wypadku i mierzyć śladów poślizgu.

Ledwie zdążyła schronić się w radiowozie, żeby skończyć notatki z wypadku, usłyszała wezwanie przez policyjne radio.

Zamknęła notes i włączyła mikrofon. Była druga czterdzieści pięć. Na szczęście, niebawem kończyła służbę. — Wóz trzydzieści dwa - zameldowała dyżurnemu.

- Wypadek drogowy na Szesnastej Ulicy - poinformował

ją Carl Bundy. - Chyba tylko solidna stłuczka, bo nie zgłoszono rannych. Zajmij się nią, Casey.

- Za kwadrans kończę służbę. Dojazd do wypadku zajmie mi co najmniej pięć minut i nie będę miała czasu na spisanie protokołu. Muszę wracać na Drugi Posterunek, żeby oddać całą papierkową robotę.

- Będziesz miała wiele czasu - radośnie zapewnił ją Bundy. - Sierżant przedłużył ci zmianę o cztery godziny.

- Ale dlaczego? Nie muszę pracować na ulicy. Jestem z oddziału patrolowego. Zgodziłam się zastąpić Carol Bat-son, bo po wczorajszym leczeniu zęba czuła się koszmarnie, i...

- Nie narzekać - powiedział rozweselony Bundy. - To pierwsza zasada dobrego policjanta z drogówki.

- Nie jestem z drogówki - warknęła Liz. - Dopiero co mówiłam, że dziś zastępuję jednorazowo...

Liz usłyszała gulgot. Wiedziała, co to oznacza. Bundy ciągnął przez słomkę ulubiony mleczny koktajl.

- Mam nadzieję, że powiedziałeś o tym sierżantowi? Nie powinien liczyć na to, że wezmę nadgodziny.

- Może i nie - przyznał Bundy w przerwie między jednym pociągnięciem porcji koktajlu a następnym. - Ale chyba warto ci przypomnieć, że teraz, gdy ubiegasz się o awans, powinnaś siedzieć cicho. I...

- Moja prośba o awans nie ma nic wspólnego z tym, czy będę mokła na deszczu jeszcze przez cztery godziny, czy nie. Bundy, miałam dziś okropny dzień.

- Jedź od razu do tamtego wypadku. Był już następny telefon. Zaraz zrobi się piekło, że nie ma cię na miejscu.

- Dobrze. Ruszam. - Liz musiała przyznać mu rację. - Ale jestem wykończona. I głodna. Od południa nie miałam ani sekundy przerwy.

- Powiedz to nie mnie, lecz tym wariatom, którzy porozbijali samochody. - Bundy zakończył rozmowę.

- Oto nagroda za dobry uczynek - mruknęła pod nosem Liz. Zaraz jednak ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Wiedziała, że Carol Batson odwzajemniłaby się identyczną przysługą. Była dobrą przyjaciółką. Pół roku temu miała operację wyrostka i zużyła cały płatny urlop zdrowotny. A że nie mogła pozwolić sobie na utratę nawet jednej dniówki, więc Casey zgodziła się wziąć za nią służbę. Szefowie nie mieli nic przeciw takim zastępstwom, byleby robota została wykonana.

- Dlaczego ludzie nie siedzą w domu w taką pogodę? ~ mruzczała pod nosem.

Westchnęła. Musiała wreszcie przestać być malkontentką. Nie tak dawno temu była zupełnie inna. Spokojna i zrównoważona. Potrafiła cieszyć się życiem. Ale to wszystko działo się w innej epoce.

Przed pojawieniem się w jej życiu Craiga Stovera.

Małżeństwo z tym człowiekiem pozbawiło ją radości życia. Musiała wreszcie się ocknąć i wrócić do poprzedniego stanu. Po niecałym roku współżycia z Craigem spakowała manatki, wyszła z domu i nigdy więcej nie obejrzała się za siebie.

Craig ożenił się trzy miesiące później. Podobno z kobietą, która robiła, co zechciał i uprzedzała każde jego życzenie.

Liz musiała zatrzymać radiowóz, bo mały samochód blokował jej przejazd. Oprócz migaczy na dachu włączyła syrenę, żeby kierowca usłyszał, że ma za sobą policję.

Kierowcą była kobieta. Liz podjechała bliżej i nastawiła syrenę na pełny regulator. Kobieta wzruszyła ramionami i gestem wskazała sznur samochodów na skrzyżowaniu. Nie zjechała na bok. Udawała, że nie wie, o co chodzi. Liz ogarnęła złość. Gdyby nie deszcz, wypisałaby mandat za umyślne

blokowanie drogi radiowozowi na sygnale. Rannych nie było, więc pięć minut opóźnienia nie zrobiłoby większej różnicy.

Stojąc przed skrzyżowaniem na zablokowanym pasie, wróciła myślami do tego okresu w życiu, który obarczała winą za swoją obecną malkontencką postawę.

Z pozoru Craig Stover był ideałem mężczyzny. Przystojny i dobrze ubrany, robił doskonale wrażenie. Akurat kończył prawo na Uniwersytecie Stanu Alabama. Liz poznała go, będąc świeżo upieczoną absolwentką akademii policyjnej. Przydzielono ją do grupy mającej utrzymać porządek wśród kibiców meczu w dolnej części miasta.

Tego dnia drużyna Uniwersytetu Stanu Alabama zmierzyła się z miejscowym zespołem Uniwersytetu Auburn w Birmingham i wygrała mecz. Craig wraz z innymi kibicami własnej drużyny poszedł do baru uczcić zwycięstwo. Chłopcy zachowywali się tak hałaśliwie, że zdenerwowany właściciel baru wezwał policję. Do baru posłano Liz, patrolującą tę część miasta.

Na początku kibice antagonistycznych zespołów tylko wygrażali sobie nawzajem. Potem pogrożki zaczęły przekształcać się w bijatykę. Sytuacja mogła wymknąć się spod kontroli, gdyby nie Liz, która wkroczyła do baru i z miejsca zagroziła rozrabiającym chłopakom, że jeśli natychmiast się nie uspokoją, zatrzyma ich i odstawi na posterunek.

Posłuchali i zaczęli opuszczać bar. Liz odwróciła się w stronę wyjścia. Zastąpił jej drogę przystojny, uśmiechnięty chłopak, w typie Toma Cruise'a. Przedstawił się, powiedział, że pochodzi z Mobile, i zaprosił Liz na kolację po skończonej służbie. Oświadczył, że jest najseksowniejszą policjantką na świecie, i zapewnił, że nie uda się jej zniknąć z jego życia.

Liz całkowicie uległa urokowi Craiga. Miała wprowadzić za sobą parę flirtów, ale nikogo wyjątkowego w jej życiu nie było. Może także dlatego, iż przez ostatnie dwa lata nauki w akademii policyjnej nie miała czasu na randki. Była bardzo ambitna. Zamierzała piąć się wysoko po szczeblach kariery. Postanowiła nie wychodzić za mąż jeszcze przez parę lat.

Była więc wówczas łatwym łupem dla chłopaka pokroju Craiga. Zmęczona nauką i trudną służbą, marzyła o romansie.

Miała już dwadzieścia lat i ominęło ją w życiu wiele dobrych chwil, a Craig odkrył przed nią wielki, nowy świat. Zabawy studenckie, mecze futbolowe i weekendowe wycieczki, kiedy nie miała służby.

Poznali się w listopadzie. Do Bożego Narodzenia była już szaleńczo zakochana. Na Wielkanoc Craig zabrał ją do Mobile, aby przedstawić rodzicom, a w czerwcu, gdy tylko skończył studia prawnicze, odbył się ich ślub.

I od tej chwili zaczęły się kłopoty.

Craig rozpoczął pracę w znanej firmie prawniczej w Birmingham, z pensją czterokrotnie wyższą niż to, co w policji zarabiała Liz. W prezencie ślubnym majątni rodzice Craiga podarowali im dom w eleganckiej dzielnicy. Craig zażyczył sobie, żeby żona przestała pracować i zajęła się domem.

Liz nie chciała słyszeć o rzuceniu pracy. Nie miała zamiaru stać się kura domową. Powiedziała mężowi, że domem zajmie się później, kiedy na świat przyjdą dzieci. Na razie jednak zamierzała robić dalszą karierę zawodową.

Craig był uparty. Uważał, że żona powinna wspomagać karierę męża, uczestnicząc w jego życiu. Ograniczało się ono do gry w golfa i chodzenia do ekskluzywnych klubów.

Zawód policjantki nie harmonizował z karierą Craiga. Już w podróży poślubnej, podczas rejsu statkiem wycieczkowym

po Morzu Karaibskim, odkrył on przed młodą żoną swoje prawdziwe oblicze. Bez ogródek powiedział, co myśli o jej pracy.

Liz żałowała, że tego ultimatum nie usłyszała przed ślubem. Przypomniała Craigowi, że fakt, iż jest policjantką, był jedną z przyczyn, dla których zaczął się nią interesować.

Przyznał bezczelnie, że miał wtedy po prostu chętkę na randkę. I że powinna mieć na tyle oleju w głowie, żeby wiedzieć, iż on jako zdolny prawnik, chcący osiągnąć sukces, nie może być żonaty z kobietą na co dzień mającą do czynienia z kryminalistami.

Powinna być szczęśliwa, oświadczył Liz, że złapała tak świetnego męża. Ofiarowywał jej życie w bogactwie i w wyższej warstwie społecznej, podczas gdy ona, jak ostatnia idiotka, chciała nadal kurczowo trzymać się nizin społecznych.

Weszli na pokład statku, trzymając się za ręce i spoglądając sobie czule w oczy, a opuścili go tydzień później milczący i zagniewani.

Craig żądał, aby Liz rzuciła pracę, a ona usiłowała wyjaśnić mu przyczyny swego postępowania. Była przedstawicielką czwartego pokolenia funkcjonariuszy policji w rodzinie i marzyła o karierze w swoim zawodzie. Z członka zespołu patrolowego chciała awansować na wywiadowcę. Craig tego nie rozumiał i w miarę upływu czasu powstawała między nimi coraz głębsza przepaść.

Na skrzyżowaniu zmieniły się światła.

Za plecami Liz rozległ się klakson.

Och! Jak mogła tak się zamyślić, jadąc na sygnale?

Po paru chwilach znalazła się na miejscu wypadku. Nie było rannych, ale zderzyły się nie trzy, lecz cztery wozy. Dla Liz oznaczało to konieczność pisania dłuższego raportu.

Zacinał ulewny deszcz, tak że nie było można robić nota-

tek, bo papier natychmiast przesiąkał wodą. Wreszcie Liz udało się osłonić notes przeciwdeszczową peleryną, ale miały ją tak silne porwy wiatru, że mokra tkanina owijała się wokół jej ciała, maksymalnie krępując ruchy.

Prawie półtorej godziny zajęło spisanie wszystkich niezbędnych zeznań, wykonanie pomiarów na jezdni i odciążenie na bok wraków przez pomoc drogową.

Ledwie uporała się z robotą na Szesnastej Ulicy, Bundy posłał ją do następnego wypadku, na szosie między stanowej.

- Ta droga nie należy do naszej jurysdykcji - mruknęła.

- To graniczne miejsce, a wypadek był poważny. Policja podmiejska prosiła nas o wsparcie w kierowaniu ruchem ulicznym. Ruszaj. Zostały ci ponad dwie godziny służby.

Bundy powiedział to tak radośnie, że zgnębiona Liz u-znała gd niemal za sadystę. Wyłączyła radio, żeby nie dać mu satysfakcji z wysłuchania następnej porcji jej narzekań.

Deszcz miotany wiatrem nie ustawał ani na chwilę. Wysiadając z wozu, Liz nawet nie włożyła na siebie peleryny. Była i tak całkiem mokra. Wypadek był poważny. Zderzyło się aż osiem samochodów. Stanęła obok i zaczęła kierować ruchem pojazdów.

Na szczęście, jak na październik, było dość ciepło. W przeciwnym razie wkrótce znalazłaby się z pewnością w szpitalu z zapaleniem płuc. W porównaniu z rzeczywistością ta ponura myśl nie wydawała się jej aż taka zła.

Dostała jednak dreszczy i kataru. Była przemoczona do suchej nitki. Podobnie jak inni policjanci znajdujący się na miejscu wypadku.

- Casey, powinnaś urodzić się z płetwami u nóg - zażartował jeden z nich. - Byłoby ci z nimi bardziej do twarzy. I mogłabyś pływać jak kaczka.

Liz rzuciła mu ponure spojrzenie i ponownie zajęła się



poganiem nadjeżdżających kierowców, aby nie tamowali ruchu i szybko omijali miejsce zderzenia. Wielu nie zdawało sobie sprawy z tego, że zatrzymując się lub zwalniając z ciekawości na miejscu wypadku, sami mogli spowodować następny karambol.

Wreszcie wraki samochodów zostały odciągnięte na bok drogi i ruch uliczny zaczął powoli wracać do normy. Liz spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. Włączyła mikrofon.

- Wóz numer trzydzieści dwa zjeżdża do bazy - zameldowała.

Usłyszała głos Carla Bundy'ego:

- Hej, Casey, nie chcesz wziąć jeszcze jednego wezwania? Mam dla ciebie ładną robotkę przy Trzeciej Ulicy. Samochód uderzył w słup latarni i...

- Wyślij kogoś innego. Ja już zjeżdżam - oświadczyła Liz.

Wyłączyła mikrofon. Miała już tylko odwieźć radiowóz na Drugi Posterunek, gdzie pracowała Carol, złapać autobus i pojechać do domu.

Weźmie gorącą kąpiel oraz włoży szlafrok i kapcie. Zamówi pizzę, a potem zwinie się w kłębek na kanapie i w towarzystwie Toma będzie oglądała telewizję.

Uśmiechnęła się do siebie. Była to miła perspektywa spędzenia wieczoru. Z jednym tylko „ale”.

Tom nie był mężczyzną, lecz kotem.

Znalazła go pod domem podczas zamieci. Był przemarznięty, więc wpuściła go do środka, aby się ogrzał, i dała mu jeść. Musiało mu się u niej spodobać, bo od tamtej pory został jej stałym lokatorem.

Była o zaledwie o kilkanaście metrów od Drugiego Posterunku, gdy nagle usłyszała głos Bundy'ego.

- Casey, masz zameldować się u sierżanta - oświadczył.

Liz włączyła mikrofon.

- Chyba sobie kpisz ze mnie. Masz pojęcie, w jakim jestem stanie? Przemoczona, zmordowana i głodna. Żeby dostać się do was, musiałabym prosić kogoś o podwiezienie. Mój samochód stoi w garażu, a autobusem dotarłabym do was dopiero przed północą.

- Przestań tyle gadać. Ja tylko przekazuję polecenie. Bundy wyłączył się, ale zanim to zrobił, Liz usłyszała znajomy gulgot mlecznego koktajlu.

Czy ten okropny człowiek nigdy nie schodził ze swojej zmiany? zastanawiała się zgnębiona. Pewnie godził się pracować za darmo, byleby tylko móc przekazywać ludziom złe wiadomości.

Nie powinna utyskiwać. Dzisiejszy dzień należało potraktować jako jeszcze jedno doświadczenie, ale miała już wszystkiego dość. Włączyła kierunkowskaz, żeby zasygnalizować skręt w lewo, i przekonała się, że nie działa.

- No, przynajmniej deszcz jest mniejszy - mruknęła, odkręcając szybę, żeby wysuniętą ręką zasygnalizować skręt.

W tym momencie z przeciwnej strony nadjechał z warkotem silnika mały czerwony sportowy wóz, wyrzucając spod koła solidny strumień błotnistej wody, która ochlapała twarz Liz.

- Tego już za wiele! - warknęła rozzłoszczona. Włączyła syrenę, z pełną szybkością zawróciła na skrzyżowaniu i pognała za winowajcą.

Radar wskazywał, że kierowca czerwonego wozu jedzie tylko o dziesięć kilometrów na godzinę szybciej, niż było to dozwolone w tej części miasta. W normalnych warunkach nie uznałaby tego za drogowe przestępstwo i pozwoliłaby mu jechać dalej, ale dziś porcja błota na twarzy podziałała na nią jak policzek.

No, przynajmniej nie będzie musiała ścigać tego faceta. Na dany znak kierowca wyhamował błyskawicznie. Liz zatrzymała radiowóz tuż za czerwonym samochodem.

Wysiadła i z twarzą ociekającą błotem podeszła do okna kierowcy. Bez żadnych grzecznościowych wstępów warknęła:

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Z wnętrza małego wozu dobiegł łagodny, męski głos:

- Jechałem tylko trochę za szybko i...

- A więc zdaje pan sobie sprawę z tego, że przekroczył dozwoloną szybkość?

- Tak, ale bardzo się spieszę. Jestem już spóźniony i.

- To żadne usprawiedliwienie. Ja też jestem spóźniona, ale nie jadę jak szalona po śliskiej od deszczu nawierzchni.

Nadal nie widziała twarzy mężczyzny, ale w jego głosie dosłyszała cierpki ton.

- Nie zważając na śliską nawierzchnię, zbyt ostro zawróciła pani na skrzyżowaniu - wytknął Liz.

- To było usprawiedliwione. Ma pan dokumenty?

- Tak, ale sądziłem, że pani mi daruje. Ja też jestem poliqaatem. Wywiadowcą. Mogę pokazać odznakę.

Liz poczuła gwałtowną niechęć do tego człowieka. Był wywiadowcą! Jeździł jak wariat po mieście i do tego ochlapał ją błotem.

- Tym bardziej powinien pan przestrzegać przepisów.

- Może tym razem daruje pani koledze po fachu?

- Nie. Daje pan zły przykład. Nie należy jeździć tak szybko po śliskiej nawierzchni i do tego opryskiwać ludzi błotem.

- Aha, już rozumiem, w czym rzecz. - Winowajca wychylił się przez okno i zmierzył Liz ostrym spojrzeniem. - Niechący wpadłem w kałużę i panią ochlapałem. Za to

dostanę mandat, mimo że jechałem niewiele szybciej, niż to jest dozwolone. Piękne dzięki! - mruknął na koniec z przekąsem.

Liz pomyślała, że gdyby nie miał tak nachmurzonej twarzy, mógłby uchodzić za bardzo przystojnego. Dobiał trzydziestki. Miał bujne, ciemne włosy i zielone oczy okolone gęstym wachlarzem rzęs zbyt długich jak u mężczyzny. Był dobrze zbudowany. Mogła to ocenić po białej koszuli napiętej na szerokim torsie i umięśnionych przedramionach widocznych pod podwiniętymi rękawami.

- Spóźnię się na spotkanie na moim posterunku - oznajmił. - Chyba pani to rozumie. Czy zwierzchnicy nigdy nie wzywają pani nagle?

- Wzywają - potwierdziła ponurym głosem. - Właśnie teraz jadę na służbową rozmowę, a pan mnie zatrzymuje. Jeśli zaraz nie zobaczę pańskich dokumentów, uznam, że ich pan nie ma, i...

- Dobrze, już dobrze. Znam przepisy. Ale uważam, że tym razem mogła mi pani darować. Do licha, zapłacę za wyczyszczenie pani munduru i dorzucę parę groszy na wizytę w salonie piękności, jeśli w ten sposób panią uszczęśliwię.

- Nie musi pan tego robić - wycedziła Liz. Ledwie nad sobą panowała. - Po raz trzeci proszę o okazanie prawa jazdy, żebym mogła wypisać mandat.

Kierowca pochylił głowę i wyjął dokumenty ze schowka.

- Kobiety policjantki zawsze muszą pokazać, jakie są ważne - wymamrotał pod nosem.

- Co pan powiedział? - suchym tonem spytała Liz.

- Nic. - Wepchnął jej do ręki dokumenty.

- Zrobił pan niestosowną uwagę pod adresem kobiet.

- Co z tego? Za to nie może mnie pani aresztować. Proszę

pisać mandat, bo chcę wreszcie stąd odjechać i pozbyć się pani towarzystwa.

Ponownie zmierzył Liz niechętnym spojrzeniem. Mimo to znów uznała, że jest piekielnie przystojny. W innych warunkach może by i...

Wyjęła bloczek z mandatami i zaczęła wypełniać druk. Mężczyzna nazywał się Steve Miller.

- Miałem dzisiaj okropny dzień - stwierdził.

- Ja też - przytaknęła Liz.

- To widać. - Zaśmiał się drwiąco.

Liz wyrwała z bloczka mandat i rzuciła go na kolana mężczyzny.

- Za to niewielkie przekroczenie szybkości nie wpiszą panu punktów karnych do prawa jazdy - poinformowała. - Ale takie drobne przewinienia się kumulują.

- Będę o tym pamiętał, przejeżdżając obok radiowozu. Jeśli jednak będzie w nim siedziała kobieta, która miała akurat kiepski dzień...

Liz uśmiechnęła się mimo woli.

- Pan się nie poddaje - stwierdziła.

- Podobnie jak pani. Ale przynajmniej jedno jest pewne. Nigdy nie pokłócimy się przy pracy.

- Dlatego, że działam w drogówce, a pan jest wywiadowcą? - spytała ze starannie ukrywanym rozgoryczeniem, bo Steve Miller dawał jej w ten sposób do zrozumienia, że w policyjnej hierarchii stoi od niej o niebo wyżej.

- Nie - zaprzeczył. - Dlatego że, na szczęście, jesteśmy na różnych posterunkach. Jak widać po radiowozie, pani jest na Drugim, a ja na Pierwszym.

Liz aż zatkanęła z wrażenia. Pracowała na Pierwszym Posterunku, tylko teraz, zastępując Carol, korzystała z jej radiowozu. Ale dlaczego nigdy przedtem nie widziała Steve'a

Millera? Był tak przystojny, że dziewczyny na posterunku natychmiast by o nim plotkowały, a ponadto знаła tam wszystkich wywiadowców.

- Od kiedy ma pan tam przydział? - spytała.

- Od dwóch dni.

- Jako wywiadowca?

- Tak. Pracowałem w Kalifornii w Komendzie Policji Los Angeles.

Przenieść się tutaj nie było trudno.

Liz ogarnęła czarna rozpacz. Na Pierwszym Posterunku wakowało tylko jedno stanowisko wywiadowcy. Zatrudnienie Steve'a Millera oznaczało, że pozbawiono ją awansu. To było niesprawiedliwe. Miała odpowiednie kwalifikacje, pozdawane wszystkie wstępne egzaminy, a ponadto uważała, że powinno się awansować własnego pracownika, a nie przyjmować kogoś obcego.

Niestety, ta ostatnia praktyka była w dzisiejszych czasach dość często stosowana. Gdy ktoś ważny pociągał za sznurki, nie liczyły się żadne rozsądne wyjaśnienia i protesty.

- Piękne dzięki! - drwiącym tonem zawołał na pożegnanie.

- Nie ma za co! - śmiejąc się, odchrzyknęła zuchwale. Gdy mały, czerwony wóz włączył się w uliczny ruch, pięściami zaczęła okładać kierownicę.

- A więc, Liz Casey, ruszaj do domu i poskarż się kotu - wymamrotała pod nosem. - Nie pozostaje ci nic innego.

Zwróciła radiowóz, kluczyki, notatki i raporty z wypadków oraz jeden mandat. Na szczęście kończący służbę oficer patrolowy zgodził się podrzucić ją na Pierwszy Posterunek.

Zameldowała swoje przybycie.

- Masz zaraz stawić się u szefa - oznajmił sierżant. Westchnęła głęboko.

Komendant posterunku wezwał ją

tylko po to, żeby powiedzieć, iż nie dostanie awansu na

wywiadowcę! Zameldowała się, stając w szeroko otwartych drzwiach.

- Podejdź bliżej.

Ujrzała uśmiech na twarzy szefa. Czyżby, podobnie jak Bundy'ego, cieszyły go ludzkie nieszczęścia?

Podniósł się zza biurka i wyciągnął rękę do oszołomionej Liz.

- Moje gratulacje, wywiadowco. Szczęśliwa, lecz nadal niepewna, wyjąkała:

- Słyszałam, że wakatu już nie ma.

- Mieliliśmy dwa wolne miejsca - wyjaśnił szef. Usiadł i wskazał Liz krzesło. - Znasz Joego Fishera. Po ataku serca, który miał w zeszłym miesiącu, postanowił przejść na wcześniejszą emeryturę.

Liz szumiało w głowie. Wreszcie spełnia się jej marzenie! Będzie wywiadowcą! Dostanie złotą odznakę! Miała ochotę krzyknąć ze szczęścia, aby obwieścić całemu światu radosną nowinę. Opanowała emocje i chłodno podziękowała.

- To dla mnie zaszczyt - dodała.

- Zaslugujesz na awans. - Komendant spojrział na zegarek. - Twój nowy partner przyjechał przed godziną, żeby się z tobą spotkać. Nie było cię tutaj, więc posłałem go na kolację. Jeśli nie chcesz dłużej czekać, to spotkacie się później...

W tym momencie rozległo się pukanie.

- Wejść! - zawołał komendant.

Otworzyły się drzwi. Liz zamrugła powiekami. Miała cień nadziei, że mężczyzna, który ukazał się na progu gabinetu, znalazł się tu z całkiem innego powodu.

Cień nadziei ulotnił się jednak tak szybko, jak się pojawił, gdy rozległ się tubalny głos komendanta:

- Casey, poznaj swojego partnera. To Steve Miller.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Walt Rogan, szef wydziału dochodzeniowo-śledczego w Pierwszym Komisariacie w Birmingham, popatrzył na Steve'a Millera, który odchylił się krześle i z niepokojem czekał na decyzję nowego zwierzchnika dotyczącą przydzielenia mu innego partnera.

Po dłuższej chwili milczenia Walt Rogan zapytał:

- Czy Wczoraj wieczorem mówił pan coś na ten temat komendantowi naszego posterunku, kiedy przedstawiał pana Liz Casey?

- Nie. Uznałem, że będzie lepiej przyjść z tą sprawą bezpośrednio do pana. I -jeśli wolno mi pozwolić sobie na taką uwagę - byłem zaskoczony, że prezentacji dokonał komendant, a nie pan.

- Zwykle sam załatwiam takie rzeczy, ale mój szef chciał osobiście przekazać tę wiadomość Liz Casey. Bardzo ją ceni. Podobnie zresztą jak my wszyscy - podkreślił z naciskiem.

Steve usiłował robić dobrą minę do złej gry, ale wewnątrz aż gotował się z wściekłości.

- Doceniam to i zapewniam pana, że moje zastrzeżenia są wyłącznie natury obiektywnej. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Faktem jest, że nie chcę mieć kobiety za partnerkę.

- Faktem jest - podchwycił Rogan - że pańskie życzenie nie ma żadnego znaczenia. Potrzebny panu partner. Casey też musi kogoś mieć. Jest pan doświadczonym wywiadowcą,



a ona jeszcze nie. Więc dobrze się uzupełniacie. Pan jej pomoże.

Steve czuł się okropnie. Był napięty do granic możliwości.

- Uważam, że oboje powinniśmy zostać przydzieleni do doświadczo-nych wywiadowców. Bądź co bądź, jestem tu zaledwie parę dni. Na obcym terenie. Na początku dał mi pan Mulvaneya. Pracowało się nam dobrze. Dlaczego więc teraz pan nas rozdziela i łączy z sobą dwóch niedoświadczonych funkcjonariuszy policji?

- Bo wcale tak nie jest. Ma pan poza sobą długą praktykę w Los Angeles. Dziewięć lat.

- Tak, ale przez ostatnie sześć miesięcy byłem na urlopie. Odwykłem już od tej pracy. Rogan zaśmiał się.

- Wcale pan nie odwykł i świetnie pan o tym wie.

- Nie znam tutejszych zwyczajów. Ani regulaminu.

- Regulamin dostał pan pierwszego dnia. Radzę go przeczytać.

- Nie usłyszałem odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie mogę nadal pracować z Mulvaneyem.

- Jak już wspominałem, on ma partnera, Larry'ego Spicera. Chłopak wziął urlop, bo niedawno został ojcem, i już wraca do pracy. On i Mulvaney od dawna z sobą pracują. Tworzą zgrany zespół i nie zamierzam ich rozłączać. - Walt Rogan rzucił okiem na papiery Millera rozłożone na biurku. — To dziwne, w pańskich aktach osobistych nigdzie nie ma nawet najmniejszej wzmianki, że jest pan antyfeministą.

Steve miał ochotę rąbnąć pięścią w biurko.

- Bo nim nie jestem! Tylko uważam, że kobieta nie powinna być wywiadowcą, bo to dla niej jest zbyt niebezpieczne.

- Każda praca w policji jest niebezpieczna. Gwałtownym ruchem Steve oparł głowę o krzesło.

- To mi się nie podoba! - wybuchnął. - I gdybym wiedział, że na partnerkę przydzielicie mi kobietę, nigdy bym nie podjął tej pracy. Zostałbym w Kalifornii.

Wiedział, że jego słowa brzmią mało poważnie, ale nic na to nie mógł poradzić. Taka była prawda. Walt Rogan uśmiechnął się lekko.

- Nie zostałyby pan w Kalifornii. Pojechałby pan gdzie indziej i dobrze pan o tym wie. Chce pan uciec przed złymi wspomnieniami, ale to nie jest łatwe. - Postukał palcem w otwarte akta siedzącego przed nim mężczyzny. - Tutaj to jest. Wszystko o tym, jak pańska partnerka, tak, kobieta, została zabita podczas pełnienia obowiązków służbowych. Zmarła w pańskich ramionach.

Steve zacisnął pięści.

- To nie powinno się wydarzyć - powiedział z ledwie ukrywaną rozpaczą w głosie. - Popeliła błąd. Przypadkiem nakryliśmy handlarzy narkotyków. Powiedziałem jej, żeby czekała na wsparcie, ale nie posłuchała. - Nie widzącymi oczyma Steve Miller popatrzył przed siebie. - To nie powinno się stać. Julie niepotrzebnie ryzykowała.

- A pan też nie ryzykował, wiążąc się emocjonalnie z własną partnerką? Steve zamrugał oczyma. Tego nie mogło być w jego aktach personalnych.

- Tak, tutaj nie mam tej informacji — potwierdził Rogan, jakby odczytując myśli Steve'a. - Ale plotki rozchodzą się daleko. Ludzie mówili, że pan i Julie Comstock mieliście romans.

- Oboje byliśmy samotni. To, co nas łączyło, trudno nazwać romansem. Rogan wzruszył ramionami.

- W każdym razie złamał pan zasady.

- To są niepisane zasady.

- Ale obowiązujące. Policjantów i policjantki nie powinny łączyć zażyłe stosunki.

- A więc może pan być spokojny, że między mną a Liz Casey nie wydarzy się absolutnie nic.

- W porządku. Takie rzeczy lepiej wyjaśnić sobie od razu. Miller, ma pan na swoim koncie świetne osiągnięcia. Jesteśmy zadowoleni, mogąc mieć pana u siebie. Ale stawiamy jeden warunek. Nie chcemy mieć do czynienia z indywidualistą. Musi pan grać w drużynie, jako członek zespołu. Pracować z każdym, kto zostanie panu przydzielony. I, ostrzegam pana - Rogan uniosł palec do góry - proszę zachowywać się przyzwoicie w stosunku do Casey. Ostatnią rzeczą, jaka jest nam potrzebna w wydziale, byłby proces o seksualne molestowanie. Ma pan traktować Casey jak równą sobie partnerkę. Zrozumiano?

Steve poderwał się z krzesła. Obawiał się, że jeśli szybko nie opuści gabinetu nowego szefa, powie coś, czego będzie żałował.

- Zrozumiano - powtórzył. - Czy jest coś jeszcze? Rogan podniósł się zza biurka. Wyciągnął rękę.

- Miło powitać tu pana. I jest nam naprawdę przykro z powodu tego, co stało się w Kalifornii. Mam nadzieję, że u nas będzie panu dobrze.

Steve uściśnął wysuniętą dłoń szefa i opuścił pokój.

Było przed siódmą, więc miał jeszcze trochę wolnego czasu. W małej restauracji znajdującej się po przeciwnej stronie ulicy, na wprost posterunku, postanowił wypić kawę i coś przekąsić.

Przyszedł wcześniej, aby swobodnie porozmawiać z Roganem. Niestety, ta rozmowa nie dała pożądanego rezultatu i, co gorsza, szef może teraz powiedzieć innym funkcjonariuszom policji na posterunku, że nowy wywiadowca nie

chce pracować z partnerem w spółnicy. Wtedy wszyscy będą obserwować każdy jego krok, a on będzie musiał piekielnie uważać, żeby zrealizować zamierzony plan. To znaczy udowodnić, że Liz Casey jest osobą niekompetentną na stanowisku wywiadowcy. Zostanie wówczas przeniesiona do innej, bardziej odpowiedniej dla niej roboty, a jemu jako partnera przydzielą mężczyznę;

Przymierzając się do działania przeciwko Liz Casey, Steve odczuwał lekkie wyrzuty sumienia. Skoro dochrapała się funkcji wywiadowcy, musiała być naprawdę dobrą policjantką. Ale praca w drogówce, którą wykonywała, była zupełnie inna, znacznie prymitywniejsza, i, zdaniem Steve'a, Liz Casey awansowano stanowczo zbyt szybko.

Przypomniał sobie Julie i okoliczności jej śmierci. Jako policjantka w patrolach była niezrównana. Otrzymała wiele nagród i wyróżnień, ale to wszystko, jego zdaniem, podziałało na nią niekorzystnie. Dodało zbyt wiele pewności siebie. A tej nocy, której zginęła, zachowała się bardzo nieostrożnie. Dlatego, że była na niego zła.

Po jej śmierci był całkowicie załamany. Wziął urlop. Musiał zapomnieć o bólu i poczuciu własnej winy. Bez pracy, rodziny i jakichkolwiek zobowiązań miał wiele czasu na myślenie. Pewnego dnia uznał, że już dość tego samoudręczenia się. Postanowił opuścić Los Angeles i rozpocząć życie na nowo z dala od bolesnych wspomnień.

Wybrał Alabamę dlatego, że jako dziecko bywał tu z wizytą u ciotki. Podobał mu się ten stan. W gruncie rzeczy niczym nie różnił się od innych.

Bez trudu dostał pracę w policji w Birmingham.

Tutaj jednak od razu natknął się na problem. Najgorszy, jakiego mógł się spodziewać. Do współpracy przydzielono mu kobietę. I do tego piekielną służbistkę z przerostem am-

bicji, wlepiającą za byle co mandaty kolegom po fachu, żeby pokazać, jaka jest ważna.

- Proszę, poczekać, panie Miller.

Usłyszawszy za plecami kobiety głos, Steve stanął w miejscu. Miał nadzieję, że głos ten nie należy do kobiety, o której przed chwilą myślał.

Niestety, to była ona.

- Cieszę się, że udało mi się dogonić pana - powiedziała Liz Casey, stając u boku Steve'a.

Dopiero teraz zauważył, jak wygląda. Nie była niska. W rzeczywistości miał obok siebie wysoką kobietę. Nie zauważył tego, siedząc w samochodzie. A kiedy wczoraj wieczorem przedstawiano mu ją jako partnerkę, ze złości widział jedynie czerwone plamy przed oczyma.

Musiał przyznać, że jest ładna. Czarne włosy, ogromne brązowe oczy i lekko zadarty nos z drobnymi piegami na czubku.

Wypraktykowanym wzrokiem omiół Steve całą jej postać, dostrzegając wszelkie szczegóły. Była zgrabna i dobrze zbudowana. Był to niewątpliwie skutek chodzenia na policyjną siłownię. Miała ładnie zarysowane piersi, wąską talię i jędrne pośladki, efektownie prezentujące się dzięki obcisłej spódnicy.

Przez ramię przeczuciła żakiet, pod którym miała kaburę. Z pistoletem automatycznym kaliber 9 mm.

- Czego sobie pani życzy? - zapytał, skończywszy oględziny.

- Najpierw tego, abyśmy zachowywali się mniej... formalnie - powiedziała z uśmiechem. - Skoro mamy być partnerami...

- Rozumiem. W porządku. - Steve w porę przypomniał sobie sugestię Rogana, żeby zachowywał się grzecznie wobec

tej kobiety. Uznał, że Liz Casey z lubością wytoczyłaby mu proces o seksualne molestowanie. Tylko po to, żeby zdobyć popularność. - Mniej formalnie? - powtórzył. - Wobec tego zwracamy się do siebie po nazwisku. Zgoda? Liz Casey zmarszczyła zgrabny nos.

- To też oficjalna forma, ale skoro pan tego chce...

- W tej chwili chcę napić się kawy - przerwał jej ostro Steve. - Czy ma pani jeszcze do mnie jakąś sprawę?

Usłyszawszy niezbyt grzeczny ton głosu Steve'a, Liz zeszywniała. Z jej ładnej twarzy zniknął uśmiech.

- Chciałam przeprosić za wczorajszy dzień.

Steve poczuł satysfakcję. Nie chciał mieć na swoim koncie żadnego idiotycznego mandatu. Nowi koledzy nie daliby mu spokoju, gdyby się o tym dowiedzieli. Dokuczaliby, ile wlezie, zwłaszcza że mandat wlepiała mu kobieta.

- To miło, Casey - oświadczył ze wspaniałomyślnym uśmiechem. - Wszyscy popełniamy błędy. Nie powinienem jechać ani trochę szybciej, niż było to dozwolone na tamtym obszarze.

- Tak, Miller, nie powinienem. Ale ja powinnam być grzeczniejsza. Miałam naprawdę zły dzień. Nie wiem, czy to zauważyłeś, ale byłam przemoczona do suchej nitki. - Roześmiała się lekko. - Ta obrzydliwa pogoda przypomniła mi, jak bardzo chciałam przestać być krawężnikiem i awansować do służby patrolowej.

- Pracowałeś w patrolu?

- Tak, zanim mianowano mnie wywiadowcą.

- Ale dlaczego, kiedy cię widziałem, działałaś w drogówce?

- Robiłam komuś przysługę. - Liz przymrużyła oczy. - Czyżbyś sądził, Miller, że wprost z krawężnika awansowałam na wywiadowcę?

Nie odpowiedział.

- Aha, więc tak właśnie myślałeś - potwierdziła swoje domysły. - I uważałeś, że zostałam wywiadowcą tylko dlatego, że jestem kobietą? Miller, mam za sobą długą naukę, szkolenie i wymagane doświadczenie. Nie musisz się o mnie martwić - dodała ze złością.

Steve wiedział, że jeśli ma udowodnić niekompetencję Liz Casey, to nie powinien doprowadzać do ciągłych spięć. Jego plan w żadnym razie nie powinien wyglądać na ukartowany.

- Co powiesz, Casey, żebyśmy zaczęli jeszcze raz? - zaproponował pojednawczym tonem. - Przyjmij przeprosiny za to, że miałem o tobie mylne wyobrażenie. To jasne, że nie awansowałiby cię na wywiadowcę, gdybyś nie miała odpowiednich kwalifikacji. Jestem pewny, że będzie się nam razem dobrze pracowało. - Obdarzył Liz zdawkowym uśmiechem. - Jeśli ty z kolei przeprosisz mnie i podrzesz ten głupi mandat, przyznam jeszcze, że zachowywałem się okropnie. - Wszedł za nią do restauracji. - Postawię ci nawet dużą kawę. Co ty na to?

- Ale... ale... ty niczego nie rozumiesz - wymamrotała, nie robiąc ani kroku w stronę pustego boks, który jej wskazał.

Nadal miał przyklepiony szeroki uśmiech na twarzy. Był też świadomy, że obecny w restauracji Mulvaney wraz z kilkoma innymi wywiadowcami uważnie mu się przyglądają, chcąc zobaczyć, jak będzie sobie radził z babskim partnerem.

- Co tu jest do zrozumienia? Byłaś zła. Ja też miałem kiepski nastrój. Zrzućmy winę na koszmarną pogodę i zapomnijmy o wszystkim. Postawię ci całe śniadanie, nie tylko kawę.

- Nie możemy zapomnieć, bo...

- Bo co?

W niewielkiej restauracji stali się nagle ośrodkiem zainteresowania wszystkich pozostałych klientów.

- Bo... - znów zaczęła Liz.

- Cześć, Miller! - zawołał Mulvaney siedzący przy drugim końcu baru. - Wczoraj powinieneś ją przekupić. Zanim wypisała ci mandat.

W tej chwili wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem. Steve poczuł się tak, jakby dostał kopniaka w brzuch. Spojrzał na Liz.

- Skąd on wie o mandacie? - zapytał szeptem.

- Właśnie chciałam ci powiedzieć - odparła cichym głosem. - Mandatu nie podarłam. Zostawiłam go na Drugim Posterunku i pewnie już umieszczono go u nas na tablicy ogłoszeń. To normalny zwyczaj, kiedy któryś z funkcjonariuszy dostaje mandat lub wlepią mu grzywnę. Ma to działać wychowawczo. Szefowie chcą w ten sposób zawstydzić delikwenta. Przykro mi, że tak się stało.

Przed oczyma Steve'a pojawiły się czerwone plamy.

- Przecież przeprosiłaś mnie, Casey, za wczorajszy dzień. Sądziłem, że to oznacza, iż podarłaś mandat.

- Przepraszałam, Miller, że źle to rozegrałam, ale nic nie wspominałam o likwidacji mandatu. Nigdy tego nie robię.

- Jasne - powiedział z pozornym spokojem. - Mogłem się spodziewać. Odwrócił się w stronę baru. Miał ochotę natychmiast opuścić restaurację, ale wiedział, że to jeszcze pogorszy sprawę. Choćby nie wiem co, musiał zachowywać się idealnie. Z humorem, na luzie.

- Zgoda? - spytała Liz.

- Jasne - odparł Steve z uśmiechem na twarzy. - Ale sama będziesz musiała kupić sobie śniadanie.



## ROZDZIAŁ TRZECI

- Siadam za kierownicą - oznajmił Steve.

- Dobrze - odrzekła Liz.

Steve Miller był najbardziej zagorzałym antyfeministą, jakiego nosiła ziemia, i pewnie wolałby raczej umrzeć, niż pozwolić kobiecie prowadzić wóz.

Przecinając parking przed posterunkiem, Liz szła za Steve'em. Nawet nie próbowała dotrzymać mu kroku, gdyż wyczuwała, że chce zachować między nimi możliwie największy dystans.

Była zła, że znów mają z sobą na pieńku. Zaczynała żałować, że nie zniszczyła tego nieszczęsnego mandatu. A w ogóle to nie mogła sobie darować, że wtedy zawróciła i pojechała za Steve'em. A widząc, iż ma do czynienia z kolegą po fachu, powinna pozwolić mu odjechać.

Wszystkiemu był winien jej fatalny nastrój.

Z drugiej jednak strony Steve nie powinien złościć się na nią o to, że wzięli go na języki inni policjanci. Wywieszanie na tablicy ogłoszeń informacji o tego rodzaju przewinieniach było powszechnie stosowaną praktyką. Miały zawstydzać winowajców i, w odniesieniu do Steve'a, notatka o mandacie właśnie taką spełniła rolę.

-Doszli do radiowozu. Steve kluczem zwolnił zamek w drzwiach od strony kierowcy. Dobrze, że nie otworzył moich, uznała Liz. Niech nie robi grzecznościowych gestów dlatego, że ma do czynienia z kobietą.

Kiedy obchodził samochód, ktoś obok wykrzyknął:

- Hej, Miller, co robi twój kurator? Daje ci lekcje jazdy?

- Nie! - odkrzyknął inny policjant. - To jest część odbywania wyroku. Jako jego opiekun Casey teraz sprawdza, czy Miller umie naciskać na pedał.

Gromada policjantów wybuchnęła śmiechem. Liz odwróciła się i zobaczyła przed sobą to samo towarzystwo, które przed chwilą znajdowało się w restauracji.

- Zamknijcie się, chłopcy - nakazała ostrym tonem. - Następnym razem któregoś z was przyłapię z pedałem gazu wciśniętym do deski.

Śmiechy nie ustawały.

- Przepraszam - powiedziała Liz do Steve'a, zapinając pas. - Wcześniej czy później to się im znudzi. Później, jeśli dasz do zrozumienia, że to cię wkurza.

- Nic mnie nie wkurza - mruknął Steve. - Mam dość gadania na ten temat.

- Rób, co chcesz. Twoja sprawa - odcięła się Liz. - Chciałam tylko, abyś poczuł się lepiej.

Co za gbur, pomyślała. Żałowała, że Steve Miller został jej partnerem. Powinna poprosić o zezwolenie na pozostanie w służbie patrolowej dopóty, dopóki nie znajdą jej kogoś innego. Powinna była od razu porozmawiać z szefem, powiedzieć mu o przykrym pierwszym spotkaniu z Millerem i...

- W porządku - warknął.

Spojrzała na Steve'a. Trzymał ręce na kierownicy i patrzył na nią badawczo, ale nie uruchamiał silnika.

- Co w porządku? - spytała.

- To, co się stało...

Liz wyczuła, że partner szykuje się do następnej konfrontacji. Jak długo ten człowiek potrafi zachowywać urazę? Na litość boską, mieli przecież ze sobą spędzać mnóstwo czasu.

Chyba powinna uznać, że nie może liczyć na współpracę, wrócić na posterunek, poprosić o przydział do służby patrolowej i pożegnać się z marzeniem o pracy na stanowisku wywiadowcy. Ciężko pracowała, żeby zdobyć ten awans. Był w pełni zasłużony, ale jeśli na co dzień miała mieć do czynienia z tak piekielnym antyfeministą, gra nie była warta świeczki.

- Zakończmy całą sprawę. Liz sądziła, że się przesłyszała.

- Czy to oznacza, że zamierzasz o niej zapomnieć? - spytała zdziwiona.

- Tak.

- I już nie jesteś na mnie zły?

- A nawet jeśli jestem, to co? W gruncie rzeczy chodzi tylko o mandat. Za trzydzieści dorców. Nic wielkiego!

- Racja.

Steve rzucił Liz krótki uśmiech.

- Masz do mnie pretensję?

- Nigdy nie miałam. Wykonywałam swoją robotę.

- W sposób dość specyficzny - mruknął uszczypliwym tonem i już bez uśmiechu na twarzy.

- Sam mnie sprowokowałeś - wytknęła mu Liz - gdy zamierzałeś się wymigać, oświadczając, że jesteś moim kolegą po fachu.

Chciał coś odpowiedzieć, ale się opanował. Nabrał głęboko powietrza.

- To nas do niczego nie doprowadzi - stwierdził skrzywiony. - Gdy tylko zaczynamy rozmawiać, od razu dochodzi do konfrontacji.

- Wcale nie dążę do kłótni - zaprotestowała Liz. - Przed chwilą sam mnie sprowokowałeś, mówiąc, że źle cię potraktowałam.

Steve przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Czemu w ogóle się tym przejmuję? - warknął ze złością. - Nigdy nie dojdziemy do porozumienia.

- Masz rację - oświadczyła Liz, hardo unosząc głowę.

- Jeśli nadal będziesz tak się zachowywał.

Jechali w milczeniu. Liz nie wytrzymała długo panującej między nimi atmosfery.

- Nic nie wyjdzie z naszej współpracy - powiedziała po namyśle. -

Pójdźmy do szefa i powiedzmy mu o tym. Musimy oboje rozejrzeć się za innymi partnerami i...

- Własną robotę będę wykonywał jak należy - przerwał jej Steve - jeśli ty, Casey, poradzisz sobie ze swoją...

- To przecież oczywiste...

- A więc nie ma o co się martwić.

Wyciągnął rękę. Liz z niechęcią uściśniła podaną dłoń.

- Nie ma sensu zawracać głowy szefowi - powiedział.

- Sami się dogadamy.

Liz wydawało się, że jej partner mówi szczerze. Może rzeczywiście uda się im między sobą załatwić całą sprawę?

- Liczę na to - odparła niemal odruchowo. - Od dawna moim marzeniem było zostać wywiadowcą.

Steve spokojnie prowadził radiowóz. Jazda w porze porannego, szczytowego ruchu była trudna. Ale nie musieli się spieszyć. Najpierw mieli zbadać sprawę napadu z bronią w rękę na lombard. Przestępstwa dokonano przed świtem. Policjanci już byli na miejscu i przeczესali okolicę, lecz nie udało się im znaleźć nikogo podejrzanego.

- Dlaczego chciałaś zostać policjantką? - zapytał Steve, mimo że przyrzekł sobie nie interesować się partnerką i jej sprawami. Musiał pracować z Liz Casey i nic więcej nie powinno go obchodzić. Mimo to jednak uznał, że obowiązują go pewne zasady. Nie mógł bez przerwy milczeć.

- Jestem przedstawicielką czwartego pokolenia policjantów w mojej rodzinie - odparła z dumą w głosie. - Podobnie jak dziadek i ojciec. Dziadek już nie żyje, ale tata nadal pracuje w Montgomery.

- Jak to się stało, że znalazłaś się w Birmingham? - spytał Steve. Uznał, że rozmowa na neutralne tematy zmniejszy panujące między nimi napięcie. No i będzie mu łatwiej pozbyć się tej kobiety, jeśli nie da po sobie poznać, że jest wrogo do niej nastawiony.

- Nie chciałam pracować w cieniu ojca - odparła szczerze. - W Montgomery wszyscy traktowaliby mnie jak córkę sierżanta Billa Caseya.

- Masz jakieś rodzeństwo, które poszło w ślady ojca?

- Tylko dwie siostry. Żadna z nich nie miała zamiaru pracować w policji. Wcześniej wyszły za mąż.

- Musiałaś więc podtrzymać rodzinną tradycję, skoro twój ojciec nie miał syna.

- Nie musiałam, lecz chciałam - sprostowała Liz mniej pewnym głosem, przypomniawszy sobie sarkastyczny komentarz Steve'a na temat kobiet w policji.

Włączył radio.

- Ciesz się, że to nie dzisiaj zastępujesz koleżankę z drogówki - powiedział, kiedy wysłuchali raportu o ulicznych kolizjach. - Wygląda na to, że będzie ciężki dzień.

- Och, w godzinach szczytu jest zawsze wiele stłuczek. Odkąd zaczęli normalnie rozmawiać, Liz poczuła się znacznie lepiej. Kątem oka spojrzała na Steve'a. Znowu musiała przyznać, że jest bardzo przystojny. A kiedy się uśmiechał, co, niestety, zdarzało się rzadko, robił mu się na policzku uroczy dołeczek.

Spojrzała na jego ręce spoczywające na kierownicy. Zauważyła, że nie nosi obrączki.

- Jesteś żonaty? - spytała z wahaniem, nie wiedząc, jak on zareaguje na tak osobiste pytanie. Ale przecież sam rozpoczął rozmowę na prywatne tematy.

- Nie - odparł. - I nie będę.

- Takie oświadczenie brzmi dość dziwnie - zauważyła Liz.

- Wcale nie - zaprotestował. - Ożeniłem się z pracą. - Rzucił Liz ostre spojrzenie. - Wywiadowca nie pracuje osiem godzin dziennie. Powinnaś, Casey, zdawać sobie z tego sprawę.

- Tak samo jest w służbie patrolowej - odparła Liz.

- Czasami dochodzenie prowadzi się bez przerwy przez parę dni - ciągnął Steve. - W Kalifornii byłem kiedyś na nogach pod rząd przez trzy noce i dni. Ale tak pracować mogą tylko mężczyźni. Z kobietami jest inaczej. Nie wyobrażam sobie męża, który zgodziłby się, aby jego żona spędzała noce poza domem. A co dopiero, gdy są dzieci.

- Można dać sobie radę - powiedziała spokojnie Liz. Nie chciała pogarszać atmosfery. Trudno było jednak puszczać mimo uszu antyfeministyczne uwagi Steve'a. - Powinieneś, Miller, zdawać sobie sprawę z tego, że obecnie kobiety pracują we wszystkich zawodach, które niegdyś uważano wyłącznie za męskie.

- Masz widocznie wyrozumiałego męża.

- Nie jestem mężatką.

Dojechali do lombardu. Nie komentując wypowiedzi Liz, Steve zaparkował radiowóz.

Zastanawiała się, czy w Los Angeles miał kobiety za partnerki. Jeśli tak, to pewnie tak zalaż im za skórę, że rzuciły pracę w policji, musiały chodzić do psychoanalityka lub zajęły się sprzedawaniem ciastek w jakimś centrum handlowym.

Postanowiła spytać go o to wprost.

- Pierwszy raz pracujesz z kobietą? Przez jego twarz przemknął cień.

- Dlaczego pytasz?

- Ze zwykłej ciekawości. Usłyszawszy twój komentarz na temat policjantek, kiedy wypisywałam ci mandat, pomyślałam sobie, że nie lubisz pracować z kobietami.

- I tu się mylisz, Casey. Jestem po prostu człowiekiem, który na pierwszym miejscu stawia sprawy służbowe. Rób tak samo, a nie będzie między nami żadnych konfliktów.

Słowa Steve'a zabrzmiały jak ultimatum dla Liz. Postanowiła ich nie komentować. Ten zarozumialec wkrótce się przekona, że trafiła mu się dobra partnerka.

- Wiem z doświadczenia, jak trudne są początki pracy w roli wywiadowcy - powiedział, kiedy wysiedli z samochodu. - I dlatego będę służył ci pomocą. Może to dobrze, że nie jesteś mężatką. Nie musisz przejmować się tym, iż twój mąż martwi się o ciebie, gdy jesteś na służbie.

- Wiem, jak to jest.

Steve zwolnił kroku, tak że szli teraz obok siebie.

- Czyżbyś już zdążyła się rozwieść? Co się stało? Postanowiła odpowiedzieć szczerze.

- Mój mąż nie był zadowolony z żony policjantki. Należał do mężczyzn, którzy chcą mieć w domu laleczkę Barbie. Kobietę bez żadnych ambicji, wiszącą efektownie na jego ramieniu na wytwornych przyjęciach.

Steve wybuchnął gromkim śmiechem. Zaraz potem jednak miał ochotę dać sobie kupa za tę odruchową reakcję.

- Nie można mieć o to do niego pretensji - zauważył. - Wisząc na męskim ramieniu na wytwornych przyjęciach, wyglądałabyś świetnie.

Usłyszawszy komplement, Liz uśmiechnęła się lekko. Odetchnęła z ulgą. Pomyślała, że może jednak mimo wszystko Steve Miller potrafi być miły i ma poczucie humoru.

W małym, zagraconym lombardzie było tłoczno. Czterech policjantów usiłowało uspokoić bardzo zdenerwowanego właściciela sklepu i jego żonę.

Bert Winslow, szef grupy, który znał Liz, przedstawił się Steve'owi. Steve powiedział mu, jak się nazywa, i z miejsca zapytał:

- Co tu mamy?

Liz wyciągnęła notes i zaczęła pisać. Była zadowolona, że to Steve zaczął zadawać pytania. Przy następnych dochodzeniach zamienią się rolami. Miała nadzieję, że nie będzie z tym problemu.

Winslow odczytał z notesu to, czego zdążył już się dowiedzieć.

- To są państwo Albertinowie, właściciele lombardu. Mieszkają nad sklepem, na piętrze. Około drugiej trzydzieści nad ranem do ich mieszkania wkroczył uzbrojony, zamaskowany mężczyzna i kazał im zejść na dół. Panu Albertinowi przyłożył do głowy pistolet i kazał mu otworzyć sejf.

- Ile zginęło pieniędzy? - spytał Steve, rzuciwszy okiem na zagracone po brzegi pomieszczenie sklepowe.

- Nic. W sejfie znajdowały się tylko cenne przedmioty. Rolex, złote łańcuszki i brylanty.

- Jaką przedstawiały wartość?

- Pan Albertino ocenia straty na około pięćdziesiąt tysięcy.

Steve spojrzął na zegarek.

- Powiedział pan, że napastnik obudził tych ludzi około drugiej trzydzieści. Teraz dochodzi dziewiąta. Jak długo pan tu jest?



- Prawie dwie godziny. Wezwano nas tuż po siódmej. Nie ma co szukać odcisków palców, bo napastnik był w rękawiczkach. Właściciele lombardu nie chcą przeglądać albumu z fotografiami przestępców, bo ten człowiek miał maskę na twarzy. Zależy im tylko na tym, abyśmy szybko spisali protokół, żeby mogli zawiadomić agenta ubezpieczeniowego, złożyć mu zeznanie i ponownie otworzyć lombard.

- Każcie jednak chłopakom z ekipy technicznej zdjąć odciski palców. Na wszelki wypadek.

Steve popatrzył na właścicieli sklepu. Starzy ludzie siedzieli obok siebie na rozkładanych, metalowych krzeselkach, obejmując się i płacząc.

- Chyba nie jesteśmy tu już potrzebni - powiedział Winslow do Steve'a. Było widać, że ma ochotę uciec jak najdalej od rozpaczającej pary.

Steve zaskoczył wszystkich krótkim poleceniem:

- Zostańcie.

Policjanci wymienili między sobą zdziwione spojrzenia. Winslow nie dawał za wygraną.

- Kiedy wy przejmujecie sprawę, zazwyczaj nie mamy nic do roboty.

- Zostańcie - powtórzył Steve.

Przez niemal kwadrans zadawał właścicielom lombardu takie pytania, jakie na ogół zadają agenci ubezpieczeniowi. Zdaniem Liz, była to strata czasu. Poza tym Steve zupełnie wyłączył ją z dochodzenia. Czują się niepotrzebna.

- Przepraszam - przerwała mu w pewnej chwili - ale dlaczego nie zabierzemy ich na posterunek, żeby obejrzeni albumy przestępców?

Starzy ludzie wymienili między sobą pełne niepokoju spojrzenia.

- Mówiliśmy, że bandyta miał maskę. Nie będziemy w stanie go zidentyfikować - stanowczym tonem oświadczył pan Albertino.

- Ale czasami przestępcy mają jakieś charakterystyczne cechy, po których można ich rozpoznać. Włosy, kształt głowy... - Liz nie dawała za wygraną.

- Byłaby to strata czasu - z uporem powtórzył właściciel lombardu. Jego żona dodała przez łzy:

- Nie zamierzam oglądać żadnych fotografii. Chcę, żebyście jak najszybciej skończyli swoją robotę i sobie poszli.

- Moja żona jest wykończona. Oboje mamy już dość.

- Wiem, że są państwo zmartwieni - ciągnęła Liz - ale... W tej chwili usłyszała głos Steve'a:

- Casey, a może byś dała mi zająć się tą sprawą? Bezcelność Millera zaskoczyła Liz kompletnie. Jak mógł tak się do niej odzywać w obecności świadków, i do tego policjantów! Spojrzała na nich kątem oka. Wszyscy zachowali kamienny wyraz twarzy. Przynajmniej nie okazali, że bawi ich upokorzenie, jakiego doznała.

Ze złości zacisnęła zęby. Jeśli ten arogancki facet sądził, że przy każdej sprawie będzie traktował ją jak powietrze, to grubo się myli!

Steve wiele czasu poświęcił na szczegółowe omówienie skradzionych przedmiotów, których wykaz polecił sporządzić właścicielom lombardu, wypytyjąc o szczegóły dotyczące ubezpieczenia. W końcu spojrzał panu Albertinowi prosto w oczy i zapytał:

- Dlaczego dopiero ostatnio ubezpieczył pan te przedmioty?

- O co panu chodzi? - obruszył się stary człowiek. - Zawsze ubezpieczam wszystkie kosztowne rzeczy, które przyjmuję od ludzi.

- Aż na takie sumy? Równe wartości tych rzeczy? Bardziej opłaca się panu ich kradzież niż sprzedanie, które nie zawsze jest łatwe.

Czoło pana Albertina pokryły kropelki potu.

- Interesy ostatnio idą źle - powiedział zirytowany. -A w ogóle dlaczego zadaje mi pan tak bezsensowne pytania? Powinien pan zająć się szukaniem złodzieja.

Steve uśmiechnął się lekko.

- Właśnie go szukam, panie Albertino. Proszę mi wierzyć. Liz przyszło nagle do głowy, że właściciele lombardu

nie mówią całej prawdy. Sądząc, że przestraszą się i powiedzą więcej, gdy znajdą się na posterunku, powiedziała do Steve'a:

- Uważam, że powinniśmy zabrać ich z sobą.

- Nie będę oglądać żadnych fotografii! - wykrzyknęła pani Albertino, ponownie wybuchając płaczem i zasłaniając rękoma twarz.

- Dlaczego? - spokojnie zapytał Steve. - Dlaczego nie chcą państwo spróbować zidentyfikować złodzieja?

Pytanie Steve'a podniosło Liz na duchu. Powiedziała:

- Proszę jechać z nami...

- Nie wtrącaj się, Casey - odezwał się cichym głosem. - Spojrzał na starą kobietę i zapytał: - Ile ma pani dzieci?

Podniosła głowę i popatrzyła na niego wrogo.

- Dlaczego pan pyta? Co to ma do rzeczy?

Pan Albertino objął żonę ramieniem. Zwrócił się do Steve'a:

- Proszę zostawić ją w spokoju.

- Ma pani syna, prawda?

- Jego tu nie ma. - Stara kobieta wyraźnie pobladła.  
- Tak. Nie ma - potwierdził Steve. - Szuka teraz dobrej kryjówki na wszystkie przedmioty zabrane z sejfów.  
- Co takiego... - Właściciel lombardu zaczął podnosić się z miejsca. Steve gestem nakazał mu, żeby usiadł.  
- Wspólnie wymyśliście tę kradzież. Mam rację? Chłopak wpadł w jakieś tarapaty i na gwałt potrzebuje pieniędzy. Będzie dla was lepiej, jeśli od razu się przyznacie.  
Zapadło milczenie. Ale nie na długo.  
Pierwszy załamał się właściciel lombardu. Wyznał, że syn bardzo się zadłużył u handlarza narkotyków, który teraz grozi, że go zabije.  
- Syn powiedział, że jeśli mu pomożemy, to przestanie ćpać, a jeśli odmówimy, będzie martwy.  
Steve odetchnął głęboko. Zwrócił się do stojących obok policjantów:  
- Zanotujcie dane i rysopis złodzieja. Kiedy państwo je podadzą odczytajcie przysługujące im prawa i oskarżcie o współudział w przestępstwie.  
Liz stała jak oniemiała. Zdawała sobie z tego, że patrzą na nią pozostali policjanci.  
Poniosła porażkę. Pokonał ją Steve Miller. Okazał się lepszy.  
Powziął podejrzenia, gdy tylko właściciele lombardu oświadczyli, że chcą jak najszybciej skontaktować się z agencją w której ubezpieczyli skradzione przedmioty, bo zależało im na odszkodowaniu.  
Steve Miller błyskawicznie rozwikłał sprawę.  
I, jakby zależało mu na tym, żeby ostatecznie pognać swoją partnerkę, donośnym głosem dorzucił:  
- Hej, Casey, nie musisz tak bardzo się przejmować. Za-

ufałem swojej intuicji i nie zawiodłem się na niej. To się nazywa mieć doświadczenie. I jeśli uda ci się dłużej wytrwać w tym zawodzie, może pewnego dnia też ci się powiedzie.

Policjanci roześmiali się głośno. Liz uderzyła krew do głowy.

- Och, mną nie musisz się tak bardzo przejmować - ód-warknęła, niemal zgrzytając zębami i zaciskając pięści. -I zapewniam cię, Miller, że uda mi się wytrwać w tym zawodzie dłużej, niż przypuszczasz.

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

O Stevie mówił cały Pierwszy Posterunek.

Następnego dnia na rannej odprawie zjawił się sam komendant. Z miejsca wygłosił mowę, wychwalając intuicję nowego wywiadowcy. Odgadnięcie, że napad na lombard został sfingowany przez właścicieli i ich syna, uznał za nie lada osiągnięcie.

- Gdyby wszyscy pozostali pracownicy tego wydziału mieli podobną intuicję - tu westchnął ciężko - można by zaoszczędzić moc pieniędzy i wysiłku naszych policjantów. Właściciele lombardu mogliby przez wiele dni absorbować połowę pracowników wydziału, przeglądając bez końca albumy z fotografiami przestępców - dodał.

Steve, jako bohater dzisiejszej odprawy stojący na podium obok komendanta, rzucił okiem na Liz. Była bardzo zmieszana. Wyglądała tak, jakby miała ochotę skryć się w mysiej norze.

Steve uczynił to, co zamierzał. Dał Casey do zrozumienia, że nie nadaje się do niczego. Jeśli chciała pozostać w policji, powinna zająć się inną, mniej odpowiedzialną robotą.

Mimo że osiągnął zamierzony cel, czuł się jednak trochę nie w porządku. Liz miała najlepsze chęci. Nie potrafił także przejść do porządku nad faktem, że była bardzo ładna. Podobała mu się jej twarz. Już przy pierwszym, niefortunnym dla niego spotkaniu na ulicy zwrócił uwagę na ponętne usta i zastanawiał się, jaki mają smak.

Kiedy po spisaniu mandatu wracała do radiowozu, zwrócił uwagę na jej zgrabną sylwetkę. Miała na sobie granatowe spodnie z ciemniejszymi o ton lampasami po bokach. Przemoczone, ciasno opinały krągły tyłek. I podobnie mokra bluzka oblepiała obfite, ponętne piersi. Taki widok cieszył męskie oko.

Steve zganił się za te myśli. Postanowił zmusić Liz do rzucenia pracy wywiadowcy w taki sposób, aby nikt o to go nie obwiniął. Nie tylko dla jej dobra, lecz także dla własnego spokoju ducha, a właściwie ciała. Sam fakt, że zwrócił uwagę na nieprzeciętną urodę Liz Casey, był wysoce niepokojący.

Komendant, stojący obok na podium, ciągnął swoją mowę. Steve był mu wdzięczny za pochwały, ale pozostali wywiadowcy zaczęli niecierpliwie kręcić się na krzesłach. Byłoby źle, gdyby komplementy szefa miały zrazić do niego nowych kolegów.

W tej chwili komendant zwrócił się wprost do Liz.

- Masz szczęście, Casey - oświadczył - że pracujesz z Millerem. Możesz się wiele od niego nauczyć.

Steve powstrzymał uśmiech satysfakcji. Zobaczył skamieniałą twarz Liz. Komendant ponownie potrząsnął jego ręką.

- Dostaniesz, Miller, pochwałę z wpisaniem do akt - oznajmił. - Pracuj tak dalej! Jesteśmy z ciebie dumni.

Po skończonych gratulacjach Steve opuścił podium i zajął wolne krzesło obok Liz. Udała, że tego nie widzi.

Szef opuścił salę. Zaczęła się zwykła, codzienna odprawa. Składano raporty o postępie w prowadzonych śledztwach. Potem Walt Rogan przydzielał nowe zajęcia.

- Dla was nie mam nic - oznajmił Steve'owi i Liz pod koniec odprawy. - Jeśli coś się wydarzy, jesteście drudzy

w kolejce. Niedługo, podobnie jak wasi koledzy, będziecie mieli mnóstwo roboty. Może wykorzystacie wolny czas i pójdziecie postrzelać?

- Dobry pomysł - stwierdził Steve, wychodząc obok Liz z sali odpraw. Przez trzy lata pod rząd był najlepszym strzelcem w policji w Los Angeles. Zdobywał liczne nagrody. Uznał, że nadarza się jeszcze jedna sposobność wykazania partnerce, że jest do niczego.

- Możemy iść. - Wzruszyła ramionami. - Lepiej czymś się zająć, niż beczynnie czekać na wezwanie.

- Macie szczęście - powiedział Mulvaney, idący tuż za nimi. - To pierwsze tak szybkie śledztwo od dłuższego czasu. Miller, okazałeś się piekielnie bystry.

- Robiłem to, co do mnie należy - odparł Steve. Mulvaney klepnął go w ramię.

- Wiem, po co to zrobiłeś. Chciałeś wymazać ze swojej kartoteki pewien mandacik za przekroczenie szybkości? - zapytał z kąpiącym uśmiechem na twarzy.

Steve podniósł wzrok.

- Może pewnego dnia, kiedy Casey będzie miała służbę, a ty wolne, też powinię ci się noga - powiedział.

- Nie masz się czego martwić, Mulvaney - wtrąciła Liz.

- Nie pracuję w drogówce. Tylko zastępowałam koleżankę.

- Mając nadzieję, że okaże się lepszym strzelcem niż Steve, poczuła się pewniej. Spytała żartobliwym tonem: - Miller, czy to prawda, że Mulvaney jest demonem szos? Jeśli tak, to powiem koleżance, żeby miała go na oku.

- Nie musicie się mną zajmować - warknął z niechęcią Mulvaney. - Ale, Casey, słyszałem, że jesteś entuzjastką przeglądania przez ofiary przestępstw naszych albumów z fotografiami. Może więc wykorzystasz wolny czas i je uporządkuj-



jesz? Są w fatalnym stanie. A strzelanie i ciężką robotę pozostaw Millero-  
rowi.

W oczach Liz Steve dostrzegł gniewne błyski. Było mu jej trochę żal, a ponadto nadarzała się szansa wystąpienia w obronie partnerki.

- Daj spokój, Mulvaney ~ skarcił kolegę. - Idziemy postrzelać.

Gdy zostali sami, Liz z wyrzutem spojrzała na Steve'a.

- Czy nie dość już się ze mnie naigrawałeś przy policjantach, którym poleciłeś zostać w lombardzie, bo miałeś nadzieję szybko rozwiązać sprawę i popisać się przed nimi swoją mądrością? Musiałeś obsmarować mnie przed wszystkimi? Przez ciebie Mulvaney nabija się teraz ze mnie. A przecież nic w tym złego, że chciałam, aby poszkodowani zobaczyli fotografie.

Z krzywym uśmiechem Steve patrzył na zdenerwowaną partnerkę.

- Lepiej ci, gdy się na mnie wyżyłaś? - zapytał.

- Wyżyłam się na tobie? - powtórzyła zdumiona. - O czym ty mówisz? Tylko zapytałam, dlaczego ośmieszyleś mnie w oczach kolegów. Zależało ci na tym, żebym czuła się jeszcze gorzej?

Steve musiał błyskawicznie rozproszyc podejrzenia Liz.

- Na posterunku nie powiedziałem o tobie ani słowa i jest mi przykro, że wszystko rozgadali policjanci, którzy byli w lombardzie, bo tylko oni mogli to zrobić. Przysięgam, nie mówiłem nic. Podobnie jak nie poleciłem im, żeby pozostali na miejscu kradzieży po to, żeby, jak mówisz, się przed nimi popisać. Chciałem, żeby zostali, bo sądziłem, iż mogą wiedzieć, gdzie szukać podejrzanego. Dobrze znają tamtą okolicę. No i po to, aby w razie czego wykonali za nas całą papierkową robotę.

Zatrzymali się w holu przed wejściem na strzelnicę. Liz twardym wzrokiem popatrzyła na swego partnera. Steve wiedział, że zastanawia się, czy może mu wierzyć. Po chwili westchnęła głęboko.

- W porządku. Masz rację. Pewnie chciałam znaleźć winnego, żeby nie mieć do siebie pretensji o głupie postępowanie.

- Wcale nie było głupie - zaprotestował Steve. - Logika nakazywała pokazać poszkodowanym zdjęcia przestępców. Ale ci starzy ludzie protestowali tak gwałtownie, że wydało mi się to podejrzane. Podobnie jak fakt, że interesowało ich tylko odszkodowanie.

- Kiedyś może też wykażę się podobną intuicją. Na razie jednak, jak twierdzi szef, dużo mogę się od ciebie nauczyć.

- Jeśli Mulyaney i jego kumple będą nadal cię zaczepiać, możesz ich formalnie oskarżyć o seksualne molestowanie - oświadczył Steve.

- Ale ich zachowanie się w stosunku do mnie nie miało nic wspólnego z tym, że jestem kobietą. W takiej sytuacji dokuczaliby każdemu.

- Jesteś tego pewna?

Steve wolałby, aby ktoś inny załatwił za niego całą brudną robotę i umożliwiłby mu pozbycie się partnerki. Poszłoby znacznie łatwiej i szybciej.

- Tak. A poza tym nie chcieli sprawić mi przykrości. Muszę przestać reagować na takie docinki. Nie mogę chodzić urażona byle głupstwem.

A ty chyba już nie masz do mnie pretensji o ten głupi mandat.

Stała tak blisko Steve'a, że czuł słodkawy zapach mydła, którego używała, i widział złote iskierki tańczące w jej łagodnych oczach.

- Jasne, że nie mam - szybko potwierdził. Uznał, że byłoby warto obdarzyć teraz Liz jakimś komplementem. Bądź

co bądź była naprawdę ładna. Nic nie szkodziło powiedzieć jej coś miłego.

Na jego twarzy ukazał się uśmiech.

- Gdybym stwierdził, że podoba mi się twoja fryzura, że jesteś zgrabna lub że lubię patrzeć na twoje piegi na czubku nosa, czy uznałabyś to za seksualne molestowanie lub coś w tym rodzaju? - zapytał. - Czy mężczyźni nie wolno prawić kobiecie komplementów, żeby nie być posądzonym o złe intencje?

- Chyba wolno - wymamrotała Liz.

- To dobrze, bo właśnie usłyszałaś komplement - z zadowoleniem oświadczył Steve, - Nazywaj to, jak chcesz.

Otworzył drzwi strzelnicy i przepuścił przed sobą Liz, przez cały czas świadomy jej zdziwionego spojrzenia.

Policjant dyżurujący przy biurku wydał im naboje. Zajęli stanowiska obok siebie.

- Lubisz strzelać? - spytał Steve, patrząc, jak Liz szybko ładuje broń.

- Tak. - Wkładała nauszники tłumiące dźwięki. - Gdy tylko, jako dziecko, zdołałam utrzymać w rączkach pistolet, tata nauczył mnie strzelać. Mama była o to okropnie zła. Nienawidziła broni.

Steve zauważył, że Liz bardzo daleko ustawia sobie tarcze.

- Po co to robisz? Przecież zazwyczaj koncentrujemy się na bliskich celach.

- A co szkodzi umieć dokładnie celować na dużą odległość?

W tej chwili otworzyły się drzwi strzelnicy i, ku satysfakcji Steve'a, pojawił się Mulvaney z dwoma kolegami. Przyszli popatrzeć. Świetnie. Będą mogli przekonać się na własne oczy, że Liz Casey nie ma pojęcia o strzelaniu, co jeszcze bardziej pogorszy jej samopoczucie.

- Zaczynaj - powiedział rozradowany. - Ale strzelając na tak duży dystans, tylko zmarnujesz amunicję...

Dalsze słowa Steve'a zagłuszyło sześć strzałów, oddanych jeden po drugim.

Zajął się ustawianiem tarczy dla siebie. Z góry wiedział, jaki będzie wynik tego pojedynku.

Okazało się jednak, że się pomylił.

- Hej, tylko popatrzcie! - wykrzyknął zdumiony Mulvaney, który stanął tuż za Liz. - Trafiła idealnie w sam środek wszystkich sześciu tarczy. Nie widziałem jeszcze czegoś podobnego! O ile wiem, nikt u nas na posterunku nie potrafi tak strzelać. Nawet ty, Miller, jesteś gorszy - dodał z drwiącym uśmiechem.

Steve był przekonany, że Mulvaney żartuje. Opuścił swoje stanowisko i zaszedł z tyłu Liz.

Oniemiał. Mulvaney mówił prawdę. Niewiarygodne! Liz zdobyła maksymalną liczbę punktów.

Za ich plecami rozległy się okrzyki podziwu, a nawet brawa. Błyskawicznie po całym posterunku rozniosła się wiadomość o osiągnięciu Liz. Wszyscy biegli do niej z gratulacjami. Nikt nie miał pojęcia, że tak świetnie strzela. Zawsze ćwiczyła, gdy w pobliżu nie było nikogo.

Trzymała w sekrecie swoje umiejętności. Aż do tej pory.

- To nic wielkiego - oświadczyła skromnie. - Mówiłam Steve'owi, że strzelam od dzieciństwa.

- A skąd ta maksymalna liczba punktów? - z uznaniem zapytał któryś z kolegów.

- Po prostu miałam szczęście. - Liz wzruszyła ramionami.

Pojawił się nawet Walt Rogan. Położył rękę na ramieniu Steve'a i powiedział do niego:

- Gdyby chciało ci się wcześniej sprawdzić, jakie wyniki

w strzelaniu ma twoja partnerka, wiedziałabyś, że jest sklasyfikowana w ścisłej czołówce.

- Nie miałem powodu zaglądać do jej kartoteki — ponurym głosem oznajmił Steve. - Po co tyle hałasu o nic? Przecież nie były to żadne zawody.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że zachowuje się dziecinnie. Inni policjanci też byli tego świadomi.

- Miller, ty także jesteś dobrym strzelcem - uznał Mulvaney, obejrzwawszy wyniki Steve'a. - Chyba oboje jesteście najlepsi na naszym posterunku.

- Może należałoby ich rozdzielić - do rozmowy włączył się Larry Spicer, partner Mulvaneya. - Znacznie bardziej wolałbym mieć Casey za partnera niż kogoś, kto ma kłopoty z trafieniem w prześcieradło.

Wszyscy się roześmieli, wraz z Liz, która, jak podejrzewał Steve, była bardziej zadowolona z wytworzonej koleżeńskej atmosfery niż z pochwał. Sytuacja rozwijała się w niepożądanym dla niego kierunku. Po olśniewających wynikach partnerki jego krótkie śledztwo w lombardzie zeszło na drugi plan. Będzie musiał popracować nad zmianą układu sił.

Robiąc dobrą minę do złej gry, powiedział do Liz:

- Nie ma sensu tu sterczeć. Pokazaliśmy, na co nas stać.

Po opuszczeniu strzelnicy oznajmił, że zamierza pojeździć przydzielonym mu radiowozem, gdyż chce sprawdzić, czy jest w pełni sprawny.

- Zaniepokoił mnie dziwny odgłos silnika. Nie wiem, co to jest. Jeśli będę potrzebny, posłuż się pagerem.

Wydawało mu się, że Liz jest rozczarowana. Czyżby chciała jechać razem z nim...? Szybko jednak uznał, że nie ma to dla niego żadnego znaczenia.

- A ja w tym czasie postudiuję akta nie rozwikłanych spraw - powiedziała.

Tak zwykle postępowali wielu wywiadowców, gdy tylko znaleźli wolną chwilę. W normalnych warunkach Steve zrobiłby podobnie. Ale to już nie były normalne warunki. Od chwili, w której w jego życie z subtelną słońca w składzie porcelany wkroczyła Liz Casey, musiał szukać przed nią ucieczki.

Ruszył w przeciwnym kierunku. Ledwie uszedł parę kroków, usłyszał głos partnerki:

- Steve, poczekaj. - Podeszła blisko i z niepokojem spytała: - Jesteś niezadowolony z tego, że strzelanie poszło mi dobrze? Nie zamierzałam niczego ci udowodniać. Po prostu jestem dobrym strzelcem.

Starał się nie zauważać, jak bluzka obcisła kształtne piersi, gdy Liz zaczęła gestykulować, mówiąc z przejęciem.

Nie powinien reagować na jej wdzięki. W ogóle nie powinien zauważać, że jest kobietą. Ale to było niemożliwe.

- Oczywiście, że nie jestem! - Roześmiał się z przymusem. - Takie rzeczy wcale mnie nie obchodzą. Paranoiczne zachowanie się to twoja specjalność. Wyobrażasz sobie coś, czego nie ma. Bezsensownie interpretujesz moje poczynania. Nos do góry, dziecińko! Za bardzo się wszystkim przejmujesz. A teraz biegnij poprzeglądać akta. - Ruszył w swoją stronę, lecz zaraz potem odwrócił głowę i z lekko drwiącym uśmiechem dorzucił: - A przy okazji zrób porządek w albumach z fotografiami.

Rozbawiona, pomachała mu ręką. Steve poczuł się raźniej.

W samotności musiał opracować dalszą strategię. Powinien jak najszybciej udowodnić Liz Casey, że nie nadaje się na wywiadowcę. Potem on sam będzie mógł pracować spokojnie i wieść normalne życie. A także dotrzymać danego sobie słowa, że już nigdy więcej nie zainteresuje się kobietą pracującą w tym samym co on zawodzie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Jak czuje się Brudny Harry? - spytała zartobliwie Carol Batson, gdy tylko stanęła w drzwiach mieszkania przyjaciółki.

- Masz przed sobą nie Brudnego Harry'ego, lecz Koziołka Matołka - z westchnieniem sprostowała Liz. - Pracuję jako wywiadowca już ponad dwa tygodnie i przez cały czas chodzę jak ogłupiała. Czuję się absolutnie beużyteczna.

Weszły do saloniku. Carol zobaczyła na stoliku świeżą pizzę. Na jej widok oblizwała wargi.

- Och, zamówiłaś pepperoni. Moją ulubioną. I pamiętałaś, że nie znoszę anchois. Prawdziwa z ciebie przyjaciółka.

Rozsiadła się wygodnie na kanapie, nałożyła na talerz duży kawałek pizzy i spytała:

- Ogłupiała i beużyteczna? O co ci chodzi?

Liz westchnęła głęboko. Usiadła na kanapie i podkurczyła nogi.

- Czyżbyś nic nie słyszała?

- A co miałam słyszeć? - Carol wyciągnęła długą nitkę stopionego sera.

- My, prości gliniarze z drogówki, nie mamy pojęcia, co dzieje się w wyższych sferach, zwłaszcza na innym posterunku.

- W pierwszym w życiu śledztwie wysłałam na idiotkę. - Liz opowiedziała przyjaciółce o wydarzeniach w lombardzie.

Carol wypila łyk coca-coli.

- Wydaje mi się, że przesadzasz.

- Wcale nie. Od tamtej pory mieliśmy kilka drobnych spraw i Steve porozwijał je błyskawicznie, zanim zdołałam się zorientować, o co w ogóle chodzi.

- No to co? Przystojniak jest bystry. Punkt dla niego!

- Przystojniak? Masz na myśli Steve'a?

- Przecież mówimy o twoim partnerze.

- Też odniosłam takie wrażenie...

- Że jest przystojny?

- Aha...

Carol zaczęła się śmiać.

- Och, Liz, ze mną możesz być szczerą. Jesteśmy przecież zaprzyjaźnione. Wszystkie policjantki w mieście nie mówią o nikim innym. Podobno jest fantastyczny. Piekielnie atrakcyjny. Nie mów, że tego nie zauważyłaś. Kłamstwa nie pasują do pepperoni. - Spojrzała na pizzę. - Ale ty nic nie jesz.

- Odechciało mi się. Przestałam być głodna.

- Tym lepiej, więcej zostanie dla mnie. Ale wróćmy do Millera. To przystojny facet. Chyba nie muszę dodawać, że zazdroszą ci go wszystkie niezamężne dziewczyny.

- Ale dlaczego? Nie mam pojęcia. - Liz rozłożyła ręce. - Gdyby nawet mi się podobał, to i tak regulamin nie zezwala na nawiązywanie bliskich stosunków między policjantkami a policjantami. Zresztą sama świetnie o tym wiesz.

Jeszcze tego byłoby mi trzeba, żebym związała się z takim antyfemini-  
stą jak Craig, pomyślała.

Carol nie zamierzała jednak porzucić tematu.

- A czy to kogoś powstrzymało od zawarcia bliższej znajomości? A ponadto to niepisana zasada. W regulaminie jej nie ma. Chyba pamiętasz tę parę ze służby patrolowej, która



zeszłego lata wzięła ślub? Jedno z nich musiało przenieść się na inny posterunek. To wszystko.

- Daj spokój, Carol. Steve Miller mnie nie interesuje - oświadczyła Liz.
- A i on nigdy na mnie nie spojrz jak na kobietę.
- Niby dlaczego?
- Jest zagorzałym przeciwnikiem pracy kobiet w policji.
- Powiedział to? Naprawdę? - Carol uderzyła dłonią w czoło. - Jeśli zacznie utrudniać ci życie, możesz od razu go oskarżyć. Facet jest przystojny, ale, jak widzę, niezbyt rozsądny, bo sobie pozwala na antyfeministyczne komentarze.

Liz musiała przystopować przyjaciółkę. Carol miała skłonności do przesady.

- Nie osądzaj go źle. Tylko raz zrobił sarkastyczną uwagę pod adresem policjantek. Zaraz po tym, jak wlepiłam mu mandat. To wszystko.
- A czy jako partner zachowuje się poprawnie? - spytała podejrzliwie Carol. - Sądzę, że nie.

Liz zaczęła bronić Steve'a. Nie chciała podejrzewać go o złe intencje. I, jak to określił, zachowywać się paranoicznie.

- Dobrze się przy nim czujesz? - dalej indagowała Carol.
- Tak.

- No to w porządku. - Wzruszyła ramionami. - Może nawet będzie z was para.

- Przecież wiesz, że na pierwszym miejscu stawiam karierę - przypomniała Liz.

Na ten temat rozmawiały wielokrotnie. Carol pracowała w drogówce, bo nie miała większych zawodowych ambicji. Chciała tylko znaleźć sobie męża.

- Źle skończysz - oświadczyła przyjaciółce. Zjadła następny kawałek pizzy. - Będziesz żyć samotnie, jeśli nie zmie-

nisz stosunku do życia. Nadarza ci się teraz idealna okazja do poderwania fantastycznego faceta i z niej nie korzystasz.

- I nie zamierzam - potwierdziła Liz. - A poza tym wcale mnie to nie martwi. Ty też się mną nie przejmuj.

- Jest mi tylko przykro, że jeden łobuz w twym życiu wystarczył, żeby zrazić cię do wszystkich mężczyzn.

- Kiedy rozstawałam się z Craigiem, przyrzekłam sobie, że nie stanę się jedną z tych zdesperowanych kobiet, które za wszelką cenę muszą sobie dowieść, że są nadal atrakcyjne dla mężczyzn.

- Nikt ci nie każe podrywać facetów, ale ich przynajmniej do siebie nie zniechęcaj. - Carol krzyknęła, bo na jej kolanach nagle wylądowało coś dziwnego. Duży kot. Zaraz potem zwierzak wskoczył w sam środek pizzy. - Och! Popatrz, co ten łobuz zrobił! - jęknęła. - Nie znoszę kotów.

Liz szybko zdjęła ze stołu ulubieńca.

- Jak możesz nie lubić Toma? Jest taki słodki.

- Od kiedy masz tego kocura? - z odrazą w głosie spytała Carol. - Gdybym wiedziała, że hodujesz coś takiego, wcale bym tu nie przyszła.

- Przyszłabyś. Nie odrzuciłabyś zaproszenia na pizzę. A poza tym to nie ja mam Toma, lecz on mnie. Pewnego wieczoru pojawił się na progu, wszedł do mieszkania, spodobało mu się u mnie i został.

- A więc zostałeś starą panną z kotem. — Carol westchnęła.

- Nie dramatyzuj. - Liz wytarła serwetką łapki Toma, postawiła go na podłodze, a potem zaniósła do kuchni resztki pizzy i wyrzuciła je do kosza na śmieci.

Kiedy wróciła do saloniku, zastała gościa już przy drzwiach.

- Pospiesz się. Jeszcze zdążymy - powiedziała Carol.

- Dokąd się wybierasz?

- Wybieramy - sprostowała. - W piątkowe wieczory w Barze Granatowych jest pizza za darmo. Przestają serwować ją o ósmej. Potem trzeba zamawiać i płacić samemu.

Liz zaczęła się śmiać. Carol była w stanie zjeść każdą ilość pizzy i nigdy nie przybywało jej na wadze. Liz nie lubiła Baru Granatowych, bo w piątkowe wieczory można było tam spotkać samotnych policjantów i zawsze wydawało się jej, że idąc tam, zachowuje się jak kobieta zdesperowana.

- Sama nie wiem...

- Wyjście z domu dobrze ci zrobi. A ponadto jak często udaje się nam razem spędzić piątkowy wieczór? Ruszamy!

Liz westchnęła.

- Dobrze. Ale idę pod przymusem - oświadczyła, biorąc do ręki torebkę. W Barze Granatowych panował spory tłok. Z głośników rozlegała się hałaśliwa muzyka, utrudniająca normalną rozmowę. Płynęła rzeka piwa. No, i oczywiście wszyscy goście jedli pizzę.

- Lubię przychodzić do tego baru, bo za każdym razem spotykam tu innych ludzi. Zależnie od tego, kto ma wieczór wolny od służby - oznajmiła Carol. Na papierową tackę nałożyła sobie potężny kawałek pizzy. - I zawsze widzi się kogoś nowego, bo schodzą się gliniarze z całego miasta. Kiedy byłaś tu ostatnim razem?

- Nie pamiętam - odparła Liz. - Wiem tylko, że też przywlokłaś mnie siłą. Czułam się okropnie. Jak coś do jedzenia.

- Co ty wygadujesz?

- Czy widzisz, jak ci faceci przy barze nam się przyglądają? Jakbyśmy były smacznym kąskiem.

- A co w tym złego? - spytała Carol. - Gdy tylko trochę się posilę, też sobie na nich popatrzę.

Liz jęknęła. Zastanawiała się, jak długo będzie musiała siedzieć w barze. Wcześniej czy później ktoś poderwie Carol i wtedy ona będzie mogła sobie pójść.

Nagle poczuła szturchnięcie w bok.

- Widzisz to samo, co ja? - spytała ją Carol.

Liz rozejrzała się wokół. I nagle wstrzymała oddech. Przy samym końcu barowej lady ujrzała Steve'a Millera, rozmawiającego z Mulvaneym.

- Co z tego? - mruknęła.

- Przyszedł sam. To dobry znak. Nie jest z nikim związany.

- A co to mnie obchodzi?

Liz musiała w duchu przyznać, że Steve jest interesującym mężczyzną. Im więcej czasu spędzała w jego towarzystwie, tym bardziej się jej podobał. Miał ostry język i poczucie humoru. Był inteligentny, świetny w swoim fachu i uczciwy. Ale nie miała zamiaru robić z siebie idiotki i przyznawać się, że poważnie zaczęła się nim interesować.

- Gdybyś miała trochę rozumu, zajęłabyś się tym facetem -nękała ją Carol.

- Nie mam rozumu. Jeśli zamierzasz mi dokuczać, to zaraz sobie pójdę.

- Liz, rozchmurz się. Czy zawsze musisz brać wszystko na serio? Rozluźnij się. Zabaw. Och, mój Boże!

- Co się stało?

- On tu idzie.

- Kto?

- Miller. Zobaczył nas. Słuchaj. - Carol ścisnęła Liz za rękę. - Jeśli ty go nie chcesz, to czy ja mogę się nim zająć?

- Co takiego?

- Nic. Żartowałam - odparła Carol ze śmiechem.
- Cześć, partnerko - Steve przywitał Liz. Spojrzał na Carol. - A my się chyba jeszcze nie znamy.
- Jestem tą policjantką z drogówki, którą zastępowała Liz, kiedy wlepiła ci mandat. Słyszałam, że byłeś o to wściekły - oświadczyła Carol. Liz pod stołem kopnęła ostrzegawczo przyjaciółkę.
- Nie zwracaj na nią uwagi - powiedziała do Steve'a.
- Ma niewyparzoną buzię. Żeby nie słuchać, zapycham ją jedzeniem.
- Mają tu dobrą pizzę - oświadczył. - Właściwie dlatego bywam w tej knajpie.
- Niektórzy bywają tu dlatego, żeby zobaczyć się z innymi ludźmi - oznajmiła Carol. - No, wiesz, chłopcy spotykają się z dziewczynami... Carol robiła z siebie idiotkę. To jej sprawa, uznała Liz. Zaczęła przyglądać się tańczącym na parkiecie.
- Powiedz, Miller, jak to jest mieć za partnerkę jedynaczkę z Pierwszego Posterunku? - spytała Carol.
- Czuję się wyróżniony - odparł Steve.
- Naprawdę?
- Tak. Liz nie domaga się wyjątkowych przywilejów. Traktujemy ją jak kolegę.
- Jak kolegę? - jęknęła Carol. - Taką śliczną dziewczynę?
- Wystarczy. - Liz zaczęła podnosić się z miejsca, ale Steve przytrzymał ją za rękę.
- Twoja przyjaciółka sobie żartuje - powiedział ubawiony. - Podobnie jak Mulvaney i inni koledzy. Nie zwracaj na to uwagi. - Spojrzał na Carol. - Masz rację, Liz jest śliczna - potwierdził. - A poza tym jest dobrym wywiadowcą. Lubię z nią pracować i nie chciałbym mieć innego partnera.

O mały włos, a Liz otworzyłaby usta ze zdumienia.

- Żałuję, że nie dają nam ciekawych spraw - ciągnął Steve. - Na razie Liz się trochę nudzi.

- Mówiła, że czuje się całkowicie bezużyteczna, bo do tej pory sam przeprowadziłeś wszystkie śledztwa i...

- Carol - przerwała jej Liz - chyba przynieśli świeżo upieczoną pizzę. Pepperoni. Powinnaś...

Nie dokończyła, bo przyjaciółki nie było już przy stole. Zwróciła się do Steve'a:

- Przepraszam, Carol jest bardzo gadatliwa...

- Tak - przyznał. - Ale dlaczego czujesz się bezużyteczna?

- Bo jestem jak piąte koło u wozu - wyznała. - Za każdym razem sam od razu wyjaśniasz całą sprawę, zanim zorientuję się, o co chodzi. Nie jestem ci potrzebna.

Steve z trudem ukrył zadowolenie. Lada dzień Liz poprosi o przeniesienie z powrotem do patrolu.

- Na twoim miejscu też czułbym się podobnie - stwierdził. - Ale wkrótce z pewnością trafią się nam trudniejsze zadania i będziesz mogła się wykazać.

- Mam taką nadzieję, bo muszę przyznać, że bardziej podobała mi się służba patrolowa. Praca wywiadowcy jest mniej ciekawa, niż sądziłam. Steve skinął na kelnerkę.

- Mogę ci coś postawić do picia? - zapytał Liz.

- Nie powinnam pić alkoholu. W każdej chwili mogą nas wezwać.

- Nigdzie nas nie wezwą. Przecież mamy wolne.

- No to proszę o mrożoną margaritę.

- Co dla Carol?

- Niech sama zdecyduje.

Steve zamówił dwie margarity i whisky z wodą.

Carol wróciła do stolika.

- I ja chcę się czegoś napić - oświadczyła.

- Dla ciebie też zamówiliśmy. - Steve zobaczył, że przyniosła sobie dwa kawałki pizzy. - Tak mało? Straciłaś apetyt? - zapytał.

- Nie. Udało mi się zjeść trochę pizzy u Liz, zanim zjawił się Tom. Zajął się resztą.

- Twój chłopak? Czemu nie przywiozłaś go tu z sobą?

- Nie, Tom to mój... - szybko wtrąciła Liz, ale Carol nie dała jej wyjaśnić więcej.

- To przyjaciel Liz - oznajmiła. - Został w domu, bo wolał oglądać mecz w telewizji i... zjeść resztki pizzy.

Liz zaczęła protestować, ale właśnie w tej chwili przez głośnik wezwano Steve'a. Dotknął kieszeni.

- Och, do licha! Miałem wymienić baterię w pagerze i zostawiłem go w domu.

- I ja swojego nie wzięłam - powiedziała Liz. - Mam nadzieję, że nie będziemy potrzebni.

- A ja mam inne przecucie. - Steve podniósł się z miejsca. - Kiedy nie mogą złapać mnie w domu, zwykle najpierw szukają tutaj.

Po odejściu Steve'a Liz spojrzała z wyrzutem na Carol.

- Czemu wygadywałaś przy nim te bzdury o Tomie?

- Chyba chcesz, żeby myślał, że z kimś się spotykasz.

- Mam w nosie to, co sobie myśli.

- To źle.

Przy stoliku pojawił się Steve.

- Jedziemy - powiedział do Liz. - Wyjął portfel i położył na stole należność za drinki.

- Co się stało? - spytała.

- Trwa napad rabunkowy - mruknął. - Wszystkie pozo-

stałe jednostki są zajęte. Mamy pełnię księżyca, więc dzieje się więcej niż zazwyczaj. Wariaci dają o sobie znać.

- Na co napadli? - Liz była podekscytowana coraz bardziej.

- Na sklep alkoholowy. I, niestety, są zakładnicy.

- Żeby tylko nic im się nie stało. - Liz aż jęknęła. Steve też obawiał się o życie tych ludzi.

W podobnej sytuacji zginęła Julie. Och, Boże, tak bardzo pragnął nie wracać myślami do tamtych koszmarnych chwil! Niestety, historia się powtarza. I, co gorsza, znów jego partnerem jest kobieta.

RS



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Jestem nieodpowiednio ubrana - stwierdziła Liz. Miała na sobie rozpinany sweter, na tyle szeroki, aby ukryć kaburę, i krótką spódniczkę. Steve zacisnął dłonie na kierownicy radiowozu.

- To nie ma znaczenia. - Rzucił Liz szybkie spojrzenie. - Wyglądasz świetnie. Masz ładne nogi.

Steve był ubrany w sportowy golf. Wyglądał w nim lepiej niż w białych koszulkach z krawatem, które nosił na co dzień.

- Na szczęście mam przy sobie broń.

- ' Wóz numer siedem do bazy - powiedział Steve do mikrofonu. - Macie bliższe informacje o napastniku?

- Jeszcze nie - odparł Bundy, będący na służbie dyspozytorskiej. - Ale policjanci, którzy są na miejscu, mają numer rejestracyjny samochodu prawdopodobnie należącego do podejrzanego. Zaraz czegoś się dowiemy.

Liz nie mogła powstrzymać uśmiechu. Bez względu na to, o kim była mowa, we wszystkich podobnych okolicznościach używano określenia „podejrzany”. Mężczyzna w sklepie samochodowym był już przestępcą. W policji istniało sporo dziwnych zasad, których do końca nie pojmowała.

- Alan Booker - po chwili oznajmił Bundy. - Ma dwadzieścia lat. Zwolniony warunkowo dwa miesiące temu po odsiadce dwóch z pięciu lat za próbę włamania.

- Próbe? - powtórzyła zdziwiona Liz.

- Tak. Złapano go, zanim zdołał się włamać. Miał dobre-

go adwokata, który przekonał sąd, żeby zwolnić go wcześniej z odsiadania kary. W przeciwnym razie nadal byłby w Kilby.

- Miał dziś współnika?

- Nie.

- Skontaktuj się z jego sądowym kuratorem i poleć mu przyjechać na miejsce przestępstwa. - Steve wyłączył mikrofon.

Niebieskie światło stroboskopowe na dachu raz po raz rozświetlało ciemności.

Oboje byli milczący i spięci. Liz jeszcze nigdy nie brała udziału w podobnej akcji.

- Znasz procedurę? - nagle zapytał ją Steve.

- Znam - potwierdziła. Roześmiała się lekko. - Przechodziłam pełny trening. Nie jestem zielona.

Liz ze zdumieniem zobaczyła, że Steve wpadł w złość.

- Nie wymądrzaj się, Casey! - wybuchnął. - Wiem, że przeszłaś testy wytrzymałościowe. Ale w takiej sytuacji jak ta wszystkie są bezużyteczne. Trzymaj się z tyłu, panuj nad nerwami i pomyśl, zanim wykonasz jakiś ruch.

Ze zdumieniem popatrzyła na partnera. Siedział obok niej zupełnie obcy człowiek. Spięty. Zdenerwowany. Na granicy utraty samokontroli.

- Steve, o co chodzi? - spytała. - Gdybym nie miała odpowiednich kwalifikacji, na pewno by mnie tutaj nie było.

- W żadnym razie nie wolno ci ryzykować — warknął Steve. - Facet zdaje sobie sprawę z tego, że rozpoznano jego samochód, i jest zdesperowany. Zdecydowany na wszystko. Wie, co mu grozi. Bez mrugnięcia okiem jest gotów zabić.

- Dajesz mi do zrozumienia, że to ty kierujesz akcją? W porządku. - Liz starała się uspokoić partnera.

- Nie działaj pod wpływem impulsu - mówił dalej, tak jakby w ogóle jej nie słyszał.

Nadal jadąc w wariackim tempie, gwałtownie skręcił na parking obok sklepu alkoholowego i z piskiem opon zatrzymał radiowóz.

Liz rozzłościła się. Lekceważył ją i pouczał! Nie zasługiwała na takie traktowanie. Steve był równorzędnym partnerem. Nie miał prawa jej rozkazywać.

Szybko opanowała złość. Uznała, że potem będzie czas, żeby mu powiedzieć, iż gdy następnym razem zostaną wezwani do opanowania sytuacji kryzysowej, nie zamierza wysłuchiwać jego uwag. Źle się do niej odnosił.

Na miejscu zdarzenia zastali tylko jeden wóz patrolowy. Ciekawscy cywile trzymali się z daleka. To dobrze, pomyślała Liz. Nie było czasu na wyłączenie z ruchu całej ulicy.

Między otwartymi drzwiami wozu patrolowego a miejscem kierowcy skrył się Paul Darden, którego znali oboje. Mierzył we frontowe okna sklepu.

Liz i Steve błyskawicznie wyciągnęli broń i tuż za nim padli na ziemię. Darden szybko wyjaśnił sytuację.

- Kierownikowi sklepu udało się niepostrzeżenie uruchomić alarm, tak że napastnik o tym nie wiedział. Wybiegał właśnie ze sklepu, gdy nadjechał samochód ze Steve'em i Liz. Zobaczywszy policję, wycofał się z powrotem do sklepu i strzelił do kierownika. Nie udało się nam ustalić, czy człowiek ten żyje, czy nie. Do nas nie mierzył. Stał z pistoletem przyłożonym do głowy zakładnika.

Sklep był mały, ze ścianami pokrytymi półkami pełnymi butelek alkoholu. Tuż przy wejściu, po lewej, znajdowała się krótka lada, obok której Steve i Liz ujrzeli mężczyznę trzymającego kogoś za gardło. Napastnik przystawił pistolet do czoła zakładnika.

- Boże, to kobieta! - szepnął Steve z rozpaczą w głosie, która zaskoczyła Liz. Pierwszy raz widziała swego partnera w akcji. Zmieniony nie do poznania, ledwie nad sobą panował.
- Muszę chwilę się zastanowić - powiedział, zaciskając zęby.
- Wiesz, że ten człowiek jest na zwolnieniu warunkowym? - spytała Liz Dardena.
- Tak. Słyszeliśmy przez radio waszą rozmowę z Bun-dym. Steve westchnął nerwowo.
- Poczekamy na kuratora tego drania - powiedział. - Zna Bookera, więc może go nakłoni, żeby się poddał. To wszystko, co możemy zrobić.
- A co będzie, jeśli kurator go nie przekona, żeby skapitulował? - spytała Liz, pewna, że tylko tracą czas.
- Jeszcze nie wiem - powoli odrzekł Steve. - Chyba zastosujemy, gaz łzawiący. Musimy jednak liczyć się z tym, że kiedy Booker zobaczy, co się dzieje, może odstrzelić głowę tej kobiecie.
- Przydałby się tutaj strzelec wyborowy, który dostałby się do sklepu przez tylne drzwi - odezwał się Darden. - Jest tam mój partner, Dan Cowley. Że też nie mam lepszego wsparcia!
- Bardzo by się przydało - przyznał Steve. - Do diabła, gdzie się podziewa reszta naszych ludzi?
- Jest strzelanina w dolnej części miasta, jakaś afera narkotykowa, oraz poważna kraksa w centrum. Wszyscy biegną jak nieprzytomni. Sądziłem, że kiedy wy tu się zjawicie, wezwiecie oddział specjalny.
- Nie ma na to czasu - stwierdził Steve. - I tak akcję opóźnia brak kuratora.

- Trzeba by jeszcze poczekać na wyborowego strzelca.  
- Nie - do rozmowy włączyła się Liz. - Ja tam pójdę. Mogę to zrobić.  
Obaj policjanci zmierzyl ją wzrokiem.  
Liz spojrzała na Steve'a, szukając jego wsparcia.  
- Przecież widziałeś, jak dobrze strzelam.  
- Nigdzie nie pójdziesz! Zostaniesz na miejscu.  
- Muszę to zrobić! - obstawała przy swoim. - Beze mnie ta kobieta nie ma szansy przeżycia. Przygotujcie armatkę z gazem, a ja w tym czasie wejdę do magazynu i stamtąd dostanę się do sklepu.  
Zanim zdołali się odezwać, Liz zniknęła w ciemnościach. Zgodziła się, żeby Steve kierował akcją, bo miał większe doświadczenie. Jeśli później zarzuci jej niesubordynację, to trudno. W tej chwili liczyło się tylko życie zakładniczki.  
- Hej, wy tam, świnię...! - Przez otwarte sklepowe okno dobiegł Liz głos Alana Bookera. Stała.  
- Wycofajcie się! - krzyknął Booker. - Musicie natychmiast wynieść się stąd. Mam dość waszych podchodów.  
- Booker, powinniśmy porozmawiać! - odkrzyknął Steve.  
Liz ruszyła dalej. Steve umyślnie zagadywał napastnika, chcąc dać jej czas na dostanie się od tyłu do sklepu. Sam przygotowywał równocześnie działko z gazem.  
Przypomniawszy sobie przestrogi z treningów, zanim wysunęła się za tylne naroże budynku, cichym głosem zawołała do policjanta, który powinien się tam znajdować:  
- Cowley, tu wywiadowca Casey. Nie strzelaj.  
- O, dobrze, jest wsparcie. - Ucieszył się, gdy do niego podeszła. - Miałem nadzieję, że Booker tylnym wyjściem rzuci się do ucieczki i uda mi się tutaj go unieszkodliwić.  
Liz szybko opowiedziała Cowleyowi o swoim planie. Za-

jmie pozycję i będzie gotowa do strzału, gdy tylko usłyszy znajomy syk gazu łzawiącego, wypuszczanego z pojemnika.

- No to szybko wchodź do środka - ponaglił ją Cowley. - Ale uważaj. Jeśli spudłujesz...

- Nie spudłuję - oświadczyła.

Była pewna siebie. Przecież strzelała świetnie.

Ostrożnie uchyliła drzwi i wsunęła się do środka. Bała się nie o to, że sobie nie poradzi, lecz że w ciemnościach się potknie i Booker usłyszy podejrzany hałas. Może wpaść wtedy w panikę i zastrzelić zakładniczkę.

Zamknęła za sobą drzwi. Na szczęście nie zaskrzypiały.

Stała oślepiona światłami wozu patrolowego, stojącego tuż pod oknem. Uprzytomniła sobie, że w tych warunkach będzie jej trudno precyzyjnie namierzyć cel. Przed sobą ujrzała jakieś skrzynie. Żeby mieć dobre pole do strzału, musiała je wyminąć.

Właśnie miała ruszyć przed siebie, gdy usłyszała jakieś hałasy. Najpierw przekleństwo, potem dwa błyskawiczne wystrzały Bookera, które oddał, zauważywszy wycelowaną w siebie armatkę z gazem. Zaraz potem rozległ się odgłos szybkich kroków.

Liz przesunęła się w bok i mimo woli zaszła drogę Bookerowi, który tędy próbował uciekać. Tak niespodziewanie zderzył się z Liz, że wypuściła broń z ręki.

- Co do chole... — wrzasnął i wykorzystując zaskoczenie policjantki, chwycił ją za gardło.

Liz wpiła paznokcie w ramię napastnika. Kopała go, walcząc o oddech, a właściwie o życie, gdy zaczął ją wlec ku tylnemu wyjściu z budynku. Znaleźli się tuż przy drzwiach, gdy nagle stanął w nich Cowley. Booker strzelił do niego, lecz młodemu policjantowi udało się w porę cofnąć i uniknąć kulki.

- Tutaj - warknął Booker, zobaczywszy nagle otwarte drzwi do podręcznego magazynu.

Tak mocno popchnął Liz, że upadła na ziemię. Z przerażeniem patrzyła, jak napastnik od środka zamyka schowek na zasuwę.

- Kim jesteś, do diabła? - warknął, z twarzą wykrzywioną furją, przykładając do czoła Liz lufę pistoletu.

Zwilżyła językiem zaschnięte wargi. Starła się, aby jej głos brzmiał silnie i pewnie.

- Nazywam się Casey. Jestem wywiadowcą. Za zastrzelenie policjantki zginięsz na elektrycznym krześle.

- Myślisz, że się tym przejmuję? - warknął. Lufę pistoletu docisnął mocniej do jej głowy.

Liz skrzywiła się. Zamknęła oczy. Po chwili jednak znów je otworzyła.

- Pomyśl o tym, co już zrobiłeś. Pomówmy o...

- O czym? Miałbym wracać do śmierdzącego pierdła? Co to, to nie. Wolę umrzeć.

- Masz dopiero dwadzieścia lat - siłą się na spokój, przypomniała mu Liz. - Jeszcze trochę odsiedzisz, ale...

- Ale za dobre sprawowanie znów wyjdę na warunkowe? - warknął. - I co z tego? Jaką dostanę robotę i za ile? Jestem nikim! Zwykłym śmieciem, jak twierdzi mój kurator.

- Naprawdę powiedział coś takiego?

- Nie raz i nie dwa. A ja muszę utrzymać rodzinę. Liz poczuła, że Booker odsunął nieco koniec lufy od jej czoła.

- To nie w porządku - stwierdziła.

- Takie jest życie. Więc postanowiłem ukraść trochę forsy, zabrać rodzinę i uciec. Ale schrzaniłem robotę. Kobieta, którą chwyciłem, zemdliała. Wpadłem w panikę. Ale przynajmniej nie trafiły mnie te świnię z zewnątrz. Tyś też chciałaś

zrobić to samo, no nie? - Ze złością znów wcisnął czubek lufy w czoło Liz.

Za wszelką cenę musiała zachować spokój.

- Poddaj się, Booker. A ja obiecuję, że zrobię wszystko, aby ci pomóc. Czy... czy zabiłeś kierownika?

- Nie. Postrzeliłem go w nogę. Nie zamierzałem tego faceta załatwić. Ukaralem go tylko za to, że uruchomił alarm. Sądziłem, że uda mi się zmyć przed przyjazdem gliniarzy. Niestety, przez niego mi nie wyszło.

- A więc nie zabiłeś nikogo - podsumowała Liz. - Za parę lat będziesz miał szansę dostać zwolnienie warunkowe. Pomyśl o tym. Pomyśl o sobie. Przecież nie chcesz mnie zabić. Nie chcesz wylądować na elektrycznym krześle...

W myśli Liz przyrzekła sobie, że każe wyjaśnić tę sprawę z kuratorem. Swego czasu miała ochotę sama zająć się taką pracą, aby pomagać kryminalistom w powrocie do normalnego życia. Ale gdy tylko jej ojciec usłyszał o tym pomysle, kategorycznie zaprotestował. Jeszcze raz przypomniał córce, że jest ostatnią szansą, żeby w ich rodzinie znalazł się policjant w randze oficera.

Liz czuła się okropnie. Trzęsła się jak galareta.

Nagle zza zamkniętych drzwi do schowka dobiegł ją znajomy głos Steve'a:

- Booker, odłóż broń i wyjdź z rękoma w górze - polecił.

- To mój partner - wyjaśniła Liz napastnikowi, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego ze strachu gardła. - Proszę, odsuń pistolet od mojej głowy.

- Booker, pogarszasz sprawę! - zawołał Steve. - Kierownik jest tylko ranny. Szybko się wyliże. Zakładniczce też nie stało się nic złego. Ale teraz więzisz funkcjonariusza policji, a za to grozi bardzo surowa kara.



## GLINIARZE I CAŁUSY

- Booker, posłuchaj go - wyszeptała Liz. - Poddaj się. To twoja jedyna szansa przeżycia.

- Sam nie wiem. - Brooker zaczął się wahać. Jego czoło pokryły kropelki potu.

- Mówiłeś, że masz rodzinę.

- Mam.

- Ile dzieci?

- Jedno. Drugie w drodze.

- Co stanie się z nimi, gdy dostaniesz karę śmierci? Wiesz przecież, że jeśli mnie zabijesz, i tak nie uda ci się uciec.

- Cholera...

Spojrzał na zalaną łzami twarz Liz.

- Wierzę, że im opowiesz, jak było naprawdę. Nie chcę umierać.

Ociągając się, oddał Liz pistolet. Z kieszeni spódnicy wyjęła kajdanki i założyła Bookerowi na ręce.

- Sytuacja opanowana! - wykrzyknęła do Steve'a. Uniesioną nogą odsunęła zasuwę i z całej siły kopnęła w drzwi.

Otworzyły się, uderzając o ścianę. Zaraz potem zaczęła recytować Bookerowi przysługujące mu prawa.

Trudno było Steve'owi dosłyszeć, co Liz mówi. Tak głośno waliło mu serce. Przez ostatnie parę chwil przeżył prawdziwe piekło.

Śmiertelnie bał się o Liz.

Nie tylko jako o partnerkę.

Zależało mu na niej znacznie bardziej, niż sądził. Mimo że przyrzekł sobie, iż nigdy więcej nie podda się takiemu uczuciu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Obydwoma dłońmi Liz przytrzymała kubek z gorącą kawą. Nachyliła się nad ladą, tak aby nikt oprócz Steve'a nie mógł dosłyszeć jej słów. Była wściekła.

- Miller, trudno mi wierzyć, że złożyłeś na mnie pisemną skargę - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Zmierzył ją niechętnym spojrzeniem.

- Casey, należy ci się nagana. Mogłaś dać się zabić!

- Zrobiłam to, co w danej chwili uznałam za najlepsze. Udałoby mi się, gdyby nie zemdląca zakładniczka.

- Bandzior puścił ją i, uciekając, złapał ciebie. - Steve uśmiechnął się z ironią. - Tylko dlatego, że nie powinno cię tam być.

Przez chwilę Liz milczała, ze wzrokiem utkwionym w kubek z kawą, a potem spojrzała na Steve'a.

- Wiesz, o czym myślę? - spytała z powagą. - Tylko czekałeś na pierwszą dogodną sposobność, żeby móc złożyć na mnie skargę.

- To nieprawda - skłamał szybko. - Martwi mnie twoja nieostrożność. Może kosztować cię życie.

- Chciałabym móc w to wierzyć. - Liz westchnęła głęboko.

Steve'a ogarnął dziwny niepokój.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytał.

- Bo naprawdę lubię z tobą pracować. Jesteś przyzwoitym człowiekiem. Wiele się od ciebie nauczyłam. Ale tym

razem racja jest po mojej stronie. Wiesz przecież, jak dobrze strzelam. Gdybym była mężczyzną, przyznałbyś, że to prawda. I nie miałbyś nic przeciwko temu, abym strzelała. Leczą do kobiety nie masz zaufania.

- Nie o to chodzi. Sama zgodziła się, abym kierował akcją, a potem mnie nie posłuchałaś.

- Ale sprawiłam, że Alan Booker się poddał. Steve z niedowierzaniem pokiwał głową.

- Nadal nie mogę zrozumieć, jak to się stało.

- Po prostu go wysłuchałam. Nikt tego nie zrobił od dawna. I zamierzam dotrzymać danego Bookerowi słowa.

- Co chcesz zrobić?

- Pomóc mu.

- W jaki sposób? - Steve nieświadomie podniósł głos, tak że niemal krzyczał. - Załatwisz mu nowe zwolnienie warunkowe, tak żeby mógł nadal napadać na ludzi? - Rozłożył szeroko ręce. - Chyba sobie ze mnie kpisz.

- Nie kpię - odparła sztywno. - Booker potrzebuje pomocy i gdyby otrzymał ją od swego kuratora, nigdy nawet by mu nie przyszło do głowy obrabowanie tego sklepu.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi, że kuratora nic nie obchodziło to, że zbyt mało zarabia, aby móc utrzymać rodzinę. Nie pomógł mu w żaden sposób. Nawet nie podtrzymywał go na duchu. Wręcz przeciwnie. Jeszcze bardziej go pograżał. Mówił, że jest nikim! Zerem!

- To nie twoja sprawa. - Steve wzniósł oczy ku niebu i westchnął. - Do ciebie należy łapanie kryminalistów, a nie sprowadzanie ich na drogę cnoty.

- Wiem - przyznała Liz. - Ale w tym wypadku... Steve spojrzał na zegarek.

- Na nas już czas - przypomniał.

Podniósł się od stołu. Liz wstała i ruszyła za nim do wyjścia. Dochodzili już do drzwi restauracji, gdy nagle Steve położył rękę na jej ramieniu.

- Tego, co powiedziałem, nie bierz sobie za bardzo do serca - oświadczył. - Pamiętaj, że robię to tylko dla twojego dobra.

Liz skinęła głową, ale pozostała nie do końca przekonana o prawdziwości słów partnera. W oczach Steve'a Millera była tylko kobieta, istotą niższego rzędu, i nikim więcej.

Żeby wrócić na posterunek, musieli przejść na drugą stronę ulicy. Szli obok siebie, gdy nagle Steve zapytał:

- Co na to twój Tom?

- Tom? - Liz zamrużyła oczyma. Uśmiechnęła się na myśl o kocie. Tej nocy, której wydarzył się napad na sklep alkoholowy, Tom poświęcał się swemu ulubionemu zajęciu. Krążył po okolicy w poszukiwaniu damskiego towarzystwa.

- Mówił niewiele - odparła, z trudem zachowując powagę.

Zdziwiony Steve uniósł brwi.

- Naprawdę? Jego przyjaciółka niemal dała się zabić, a faceta to nic nie obeszło?

- Ostatnio był bardzo zajęty.

- Czym? Nigdy nie mówiłaś, w jaki sposób zarabia na życie. W gruncie rzeczy, Casey, niewiele o tobie wiem. To niedobrze, bo przecież musimy polegać na sobie nawzajem.

- O swoich sprawach też nic nie mówisz - wytknęła mu Liz.

- Bo nie ma o czym - mruknął Steve.

Poczekali na zmianę świateł, przeszli przez jezdnię i gdy znaleźli się po drugiej stronie ulicy, Steve wrócił do zadawania pytań.

- Czym się zajmuje?
- Kto?
- Tom.

Liz zdążyła już zapomnieć, o czym była mowa. Okropnie trudno było mówić o kocie jak o chłopaku. W tej chwili jej wzrok padł na wielki plakat reklamujący zaciąganie się do marynarki. Na fotografii było widać gumowy ponton na morzu, którego młoda, dziarska załoga zmagala się z wysokimi, wzburzonymi falami.

- Służysz w marynarce - odpowiedziała. - Często wyjeżdża.
- Nic dziwnego, że nie ma pojęcia, jak wielkie podejmujesz ryzyko. A podczas napadu był w mieście? Widział cię w telewizji?

Liz zawahała się na chwilę. Musiała błyskawicznie wymyślić coś, co zabrzmiałoby przekonująco.

- Był na miejscu - przyznała. - I mnie oglądał. Ale powiedział tylko, że bym na siebie uważała. Coś w tym rodzaju.
  - Gdzie stacjonuje?
  - W Panama City. - Liz przyszło na myśl najbliższej położone przybrzeżne miasto. Miała nadzieję, że jest tam baza marynarki.
  - A więc może często bywać w domu - stwierdził Steve. Liz rzuciła na niego okiem. Wydawał się rozczarowany taką możliwością. Brnęła więc dalej:
  - Tak. Często.
  - Dzięki temu nie nudzisz się, gdy nie masz służby - zauważył, siląc się na żartobliwy ton.
- Liz uznała, że nadeszła pora, aby wreszcie powiedział coś o sobie.
- A ty? - spytała. - Czy masz...?

Tuż przed nimi otworzyły się znieczeka frontowe drzwi budynku. Ukazał się w nich Walt Rogan.

- Wchodźcie szybciej - ponaglił Steve'a i Liz. - Mam dla was robotę. Przepadła szansa dowiedzenia się czegoś o partnerze, pomyślała Liz. Rozczarowana, weszła do gabinetu zwierzchnika. Szef polecił im usiąść, a sam zajął miejsce za biurkiem. Przerzucił jakieś papiery, a potem zwrócił się do Steve'a:

- Miller, wyjaśnij, o co tu chodzi.

Steve opowiedział o wydarzeniu sprzed tygodnia, gdy Rogan był jeszcze na urlopie, i dodał, że z tą sprawą czekał na jego powrót.

Szef wydziału spojrział na Liz.

- A ty, Casey, co masz do powiedzenia w swojej obronie? Liz opowiedziała o swoich reakcjach i o tym, że chcąc ocalić życie zakładniczki, powzięła słuszną, własnym zdaniem, decyzję.

Walt Rogan odwrócił się w stronę Steve'a.

- Kazałeś jej czekać, aż nadejdzie wsparcie.

- Tak. Bo Casey nie jest strzelcem wyborowym. Chciałem mieć kogoś z uprawnieniami.

Szef wydziału zamknął na chwilę oczy. Przez dłuższą chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem popatrzył na siedzących przed nim wywiadców i oświadczył:

- Moim zdaniem, oboje zasłużyliście na naganę.

- Dlaczego? - wykrzyknęli równocześnie.

- Ty, Casey, bo nie posłuchałaś Millera, mimo że on kierował akcją. A ty, Miller, bo nie miałeś zaufania do partnerki. Na własne oczy przekonałeś się, jak celnie strzela. Wiedziałaś, że jest w stanie wykonać zadanie. Musicie wreszcie nauczyć się pracować zespołowo i zacząć ufać sobie nawzajem.

Liz i Steve odetchnęli, gdy Walt Rogan zmienił temat rozmowy.

- Doniesiono mi, że na parkingu przyczep mieszkalnych, którego właścicielką jest niejaka Rosie Craddock, odbywa się handel narkotykami. Podobno w żółtej przyczepie ustawionej na tyłach placu. Z tamtej strony parking okala gliniasty, wysoki nasyp, więc będziecie mieli dobre pole obserwacji. Doniosła nam o tym sama Rosie. Zajmijcie się sprawą.

- Czy to nie jest ten parking z przyczepami przeznaczonymi wyłącznie dla samotnych matek? - zapytał Steve. - Mężczyznom wstęp wzbroniony?

- Tak źle chyba nie jest. Ale współczuję każdemu facetowi, który miałby odwagę ustawić na tym parkingu przyczepę mieszkalną. Rosie stworzyła tam wspaniałą przystań dla kobiet, którym los pokrzyżował życie. Dlatego nie chce, by handlowano tam narkotykami. W przyczepach mieszka wiele dzieci.

Steve podniósł się z krzesła.

- Zajmiemy się tym - oświadczył.

Liz wstała i ruszyła za nim do wyjścia. Kiedy byli już w drzwiach, dobiegł ich donośny głos zwierzchnika:

- Oboje macie się szybko dogadać. Zrozumiano? Jesteście świetnym zespołem - dodał łagodniejszym tonem - Miller, dlatego wrzucam do kosza twój wniosek o upomnienie dla partnerki. Pogorszyłyby wasze stosunki. A ty, Casey, masz być na przyszłość ostrożniejsza. Czy to jasne?

Steve szedł szybko. Liz niemal biegła, aby dotrzymać mu kroku. Zależało jej na tym, aby lepiej ułożyła się ich współpraca. Coraz bardziej przywiązywała się do Steve'a, mimo że z góry wiedziała, iż nie wyniknie z tego nic dobrego.

Chociaż pociągał ją jako mężczyzna, pracując z nim, musiała udawać obojętność.

Przez resztę dnia jeździli wokół parkingu Rosie, żeby rozpoznać okolicę i znaleźć dla siebie dogodny punkt obserwacyjny.

Liz nie mogła się skupić. Coraz trudniejsze stawało się dla niej przebywanie w towarzystwie Steve'a. Siedząc obok, fizycznie czuła jego obecność. Reagowała na nią każdym nerwem. Gdy się śmiał, uwielbiała przyglądać się dołęczkowi w jego policzku.

Czy to możliwe, że ona też zaczęła interesować go jako kobieta? Czasami tak się jej wydawało. Ostatnio coraz częściej Steve zachowywał się swobodnie, zrzucając z siebie maskę służbistego funkcjonariusza policji.

Pod względem charakteru był tak niepodobny do Craiga, że Liz przyszło do głowy, iż awersja Steve'a do kobiet ma inne podłoże niż u zwykłego antyfeministy. Być może tylko nie chciał pracować z kobietą. A może jakiś fakt w jego przeszłości sprawił, że stracił zaufanie do płci przeciwnej?

Kiedy zapadł zmrok, zajęli z góry upatrzone stanowisko na wzgórzu, z którego było dobrze widać cały parking, oświetlony ulicznymi lampami.

- Nie lubię, gdy dzieciaki płaczą się pod kołami - odezwał się Steve. - Czy zauważyłaś, że nie mają tutaj wyznaczonego placu do zabaw, mimo iż na parkingu jest wiele wolnego miejsca? Bawią się wprost na jezdni. To niebezpieczne. Nie ma tu nawet słupków ograniczających prędkość pojazdów. Widziałaś, w jakim tempie jeżdżą te kobiety? Jak wariatki. Wcześniej czy później któraś z nich spowoduje wypadek. Steve mówił i mówił, lecz Liz nie potrafiła skupić uwagi na jego słowach. Siedzieli po ciemku na trawiastym pagórku. Blisko siebie, tak żeby ich sylwetki były niewidoczne na tle rosnących za plecami drzew i z nimi się zlewały. Liz czuła



umięśnione ramię Steve'a. A kiedy, opowiadając coś, gestykulował, dotykał czasami jej uda. Czują się jak pobudzona nastolatka. Siedzący obok mężczyzna podniecał ją nawet lekkim dotknięciem.

Do północy oboje zdążyli całkiem zeszywnieć. Od nieruchomej pozycji bolały ich wszystkie mięśnie.

Udało się im zaobserwować kobietę mieszkającą w żółtej przyczepie. Chyba rzeczywiście trudniła się sprzedażą narkotyków. Pod jej przyczepę podjeżdżały samochody. Kierowcy ginęli we wnętrzu tylko na parę chwil. Wystarczających na zabranie towaru i uiszczenie zapłaty.

- Zaczaimy się tutaj jutro w nocy - oświadczył Steve, kiedy wracali do miejsca, w którym ukryli samochód.

- Rano na posterunku możemy przygotować nakazy aresztowania i inne papiery - dodała Liz. - Na samą myśl, że ta kobieta sprzedaje narkotyki, robi mi się niedobrze.

- A mnie na myśl, że te dzieciaki bawią się na ulicy, w czasie gdy ich matki zarabiają na chleb. Szkolny autobus kursujący codziennie odwozi dzieci po lekcjach o wpół do czwartej. Potem do wieczora biegają bez żadnej opieki.

Liz wyczuwała, jak sprawa ta bardzo martwi Steve'a.

- Ale co na to poradzisz? - spytała. - Nic! Los dzieci z rozbitych rodzin zawsze jest ciężki. To okropne, że muszą mieszkać w miejscu, gdzie nie ma żadnego terenu do zabawy.

Steve wyprowadził samochód na drogę. Zdziwiona Liz zobaczyła, że podjeżdżają pod dom Rosie, właścicielki parkingu.

- Zamierzasz powiedzieć jej o naszych planach na jutrzejszą noc? - spytała.

- Nie. Chcę pogadać o czymś zupełnie innym. Zatrzymali się na progu. Po chwili w drzwiach ukazała się

rudowłosa kobieta z puszką piwa w rękę. Poznali ją już wcześniej.

- Widzieliście to, o czym mówiłam? - spytała.

- Tak, proszę pani - potwierdził Steve. - I we właściwym czasie zajmujemy się tą sprawą. Na razie jednak chciałbym porozmawiać o czymś innym.

Rosie Craddock wpuściła ich do środka. Steve poskarżył się na brak placu zabaw dla dzieci.

- Ma pan rację - przyznała, kiedy Liz i Steve zasiedli przy kuchennym stole. Pili wodę sodową. Rosie wyjęła sobie z lodówki następne piwo. - Ale mnie na to nie stać. Miejsca na parkowanie przyczep wynajmuję najtaniej, jak to możliwe. Ledwie wychodzę na swoje. Skąd miałabym wziąć pieniądze na ogrodzenie terenu? A co ze sprzętem? Mówi pan, że są tu potrzebne słupki ograniczające prędkość pojazdów. Zgoda, ale władze miejskie za nie nie zapłacą, a mnie na to nie stać.

Steve zamyślił się na chwilę.

- A gdybym zdobył fundusze na plac zabaw, czy pani wygospodarowałyby odpowiednie miejsce?

- Oczywiście - bez zastanowienia odparła Rosie. - Niech pana Bóg błogosławi - dodała ze łzami w oczach.

Kiedy znaleźli się znów w samochodzie, Liz zaczęła wychwalać Steve'a.

- Postąpiłeś bardzo szlachetnie.

- Niestety, sam nie zdołam zapłacić za wszystko - powiedział rzeczowym tonem. - Ale jestem przekonany, że zdobędę potrzebne pieniądze.

- W jaki sposób?

- Mam pewien pomysł. Na razie jednak wpadnijmy coś zjeść i skończmy służbę, bo od rana czeka nas papierkowa robota.

Odmeldowali się na posterunku, a potem przeszli przez jezdnię i znaleźli się w restauracji, o tej porze prawie puste.

Liz zamówiła jajka na bekonie. Steve, nadal przejęty czekającą ich akcją i sprawą zgromadzenia pieniędzy na zorganizowanie placu zabaw dla dzieci, zdecydował się na cheeseburgera i frytki.

Liz odkryła drugą naturę swego partnera. Żywo obchodziły go kłopoty innych ludzi. W przeciwieństwie do Craiga, który był egoistą, człowiekiem dbającym tylko i wyłącznie o własne interesy, Steve Miller ukrywał wewnętrzną dobroć. Na Liz wywarło to duże wrażenie.

Kiedy kelnerka postawiła przed Steve'em talerz z jedzeniem, Liz postanowiła wrócić do przerwanej rozmowy na osobiste tematy.

- W domu nikt ci nie gotuje? Zauważyłam, że często jadasz na mieście. Steve sięgnął po butelkę z keczupem.

- Umie gotować - oświadczył. - Ale rzadko mam na to czas.

- Chodzi mi o kogoś bliskiego, kto czeka z kolacją i chce usłyszeć, jak ci minął dzień.

- Nie w mówisz we mnie, że twój dziarski marynarz czeka na ciebie z gorącą kolacją.

- No, nie... - wyjąkała Liz, gdy Steve sprawnie przerzucił piłeczkę na jej podwórko. — Ale czasami przynosi coś do domu... A ty? - udało się jej odparować cios.

- Ona... ona nie umie gotować - teraz zaczął mamrotać Steve, rozlewając keczup.

Podbiegła kelnerka, żeby zrobić porządek na stole. Po jej odejściu Liz spytała:

- Twoja przyjaciółka nie gotuje? To wstyd. Sama nie jestem dobrą kucharką, ale się staram.

Steve wbił zęby w cheeseburgera.

- Ona też nie ma czasu - odparł po chwili.

- Tak? A czym się zajmuje? - Liz poczuła ukłucie zazdrości.

- Nie robi nic.

Sączył coca-colę. Unikał wzroku Liz.

- Nie pracuje?

- Wzięła sobie długi urlop - mruknął.

- Ach, tak. - Liz poczuła satysfakcję. Wygląda na to, że osiągnięcia życiowe ukochanej Steve'a nie były imponujące przynajmniej do tej chwili. - A jak ma na imię?

Steve milczał tak długo, że Liz uznała, iż nie zamierza odpowiedzieć na zadane pytanie. Wreszcie odezwał się tak cicho, że musiała wyteńczyć słuch.

- Mamie - wymamrotał poirytowanym głosem. - Ma na imię Mamie.

RRS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Steve pieszczotliwie wytargał Mamie za ucho, a ona z miłością polizała go po szyi.

Tysiącrotnie w zeszłym tygodniu zastanawiał się, jak mu się udało wmówić Liz, że Mamie to jego przyjaciółka. Była bowiem psem, a właściwie suką. Wielkim, kudłatym labradorem, uwielbianym przez swego pana.

Kiedy Liz spytała go, czy kogoś ma, od razu przysłała mu na myśl Mamie. Bo od pewnego czasu miał tylko ją. Nie zamierzał przyznawać się Liz, że jest samotnym człowiekiem. Gdyby tak zrobił, mogłaby zacząć interesować się nim jako mężczyzną, a to wcale nie było mu na rękę. Uznał, że będzie najlepiej utwierdzić ją w mniemaniu, że ma przyjaciółkę.

Czuł się jednak głupio za każdym razem, gdy Liz wspominała o Mamie, robiąc uwagi w rodzaju: „Mamie się ucieszy, że dziś wcześniej skończyliśmy robotę” lub „Jakie ty i Mamie macie plany na jutro?”

I bez przerwy pytała, czy Mamie znalazła już sobie nową pracę.

Steve stosował niezmienną taktykę. Chcąc odciągnąć Liz od rozmowy na temat Mamie, pytał o jej ukochanego Toma. Zastanawiał się, dlaczego Liz mówi o nim niechętnie i jakby z przymusem. Może fakt, iż pracując w marynarce, bywa często poza domem, stwarzał między nimi głębsze problemy. Steve nie wiedział, jak sprawy stoją, i uznał, że nie powinien

w ogóle się nimi interesować. Sam musiał skoncentrować się na własnym zadaniu: pozbyciu się Liz jako partnerki. Wydawało się to jednak coraz mniej prawdopodobne.

Gdy złożył na nią skargę, powinna wpaść w histerię. Wówczas Walt Rogan mógł uznać ją za osobę nie zrównoważoną psychicznie. Niestety, z całym spokojem przyjęła reprimendę zwierzchnika, nie obraziła się i potem nigdy nie wracała do tej sprawy.

Podobała mu się. Coraz częściej dostrzegał w niej kobietę.

Miała bardzo dobry charakter. Jeszcze takiego nie dostrzegł u żadnej kobiety. Nigdy się nie obrażała. Na nic nie narzekała. O tym, co ją złościło, mówiła partnerowi wprost, a nie obgadywała go poza plecami. Z całym spokojem robiła to, co do niej należało, nie domagając się szczególnego traktowania ze względu na płęć. Kiedyś ze zdumieniem zobaczył, jak jednym, celnie wymierzonym ciosem karate rozkłada faceta o wiele od niej wyższego.

Steve podziwiał i szanował Liz. Żałował, że nie poznał jej w innych okolicznościach, nie mających nic wspólnego z wykonywaną przezeń robotą. Chodziło mu nawet po głowie, że jeśli pozbędzie się jej jako partnerki, to może zacząć się prywatnie spotykać.

Nie, to jest mało prawdopodobne, uznał po chwili. Z pewnością nie rozstaną się po przyjacielsku. Żeby pozbyć się Liz, będzie musiał grać nie fair.

Delikatnie odsunął Mamie, wstał i poszedł do kuchni po następne piwo. Zdawał sobie sprawę z tego, że zbyt wiele wieczorów spędza samotnie przed telewizorem, ale rozmyślania o Liz odbierały mu chęć pójścia do Baru Granatowych.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. W barze zaraz zrobi się ruch. Był piątkowy wieczór i Steve akurat miał wolne. Drobne sprawy, które prowadził, nie wymagały pospiesznego

działania. Mogły spokojnie poczekać do poniedziałku. Jak zawsze jednak był do dyspozycji zwierzchników. Miał przy sobie pager, tak że w każdej chwili można było nawiązać z nim kontakt.

Wstawił z powrotem puszkę z piwem do lodówki i zatrzasnął drzwiczki. Miał po dziurki w nosie perspektywy siedzenia przez cały wieczór przed telewizorem. Potrzebne mu było damskie towarzystwo. Był pewny, że w Barze Granatowych znajdzie bez trudu jakąś dziewczynę.

Przychodziły same. Wśród nich zdarzały się też ładne.

Steve pomyślał, że nadeszła pora, aby zaczął prowadzić życie normalnego mężczyzny.

No i musi koniecznie przestać ciągle myśleć o Liz Casey, co zdarzało mu się coraz częściej.

Przechodząc obok kanapy, poklepał Mamie po głowie.

- Przykro mi, staruszko, że na dzisiejszy wieczór zostaniesz sama. Ale jutro...

Zadzwoił telefon.

Steve z westchnieniem opadł obok Mamie na kanapę. Mogło to być tylko służbowe wezwanie. Co za pech! Akurat w chwili, gdy zdecydował się opuścić dom i pobyć wśród ludzi.

Miał ochotę nie podnosić słuchawki.

W tej chwili uprzytomnił sobie, że to nie jest wezwanie, bo pager milczy.

Dlaczego?

Zawsze zwierzchnicy lub dyżurny dyspozytor najpierw korzystali z pagera, a dopiero wtedy, gdy nie reagował, posługiwali się telefonem. A więc jednak dzwoni ktoś inny, wydedukował.

Podniósł słuchawkę.

- To ty, Steve? Jak się masz? Tu mówi Liz. Bałam się, że cię nie zastanę.

Serce zabiło mu żywiej, ale starał się, aby jego głos brzmiał obojętnie.

- O co chodzi? - zapytał.

- Chodzi o niedzielę.

- O niedzielę? - Steve nie miał pojęcia, o czym mówi partnerka. Miał przed oczyma jej twarz o wyrazistych, brązowych oczach, które kojarzyły mu się z gorącą kawą w zimowy poranek.

- Tak - potwierdziła lekko zmieszana i zdziwiona tym, że Steve zdążył zapomnieć o własnym pomysśle. - Mamy przecież zorganizować giełdę rzeczy używanych, żeby zebrać fundusze na plac zabaw dla dzieci. Na parkingu przyczep.

- Aha - mruknął Steve niewyraźnie, mając przed oczyma zgrabny nosik upstrzony drobnymi piegami.

Liz roześmiała się.

- Ziemia do Millera! Ziemia do Millera! Ocknij się wreszcie. To twój pomysł. Czyżbyś o nim zapomniał?

Steve z trudem się otrząsnął i nakazał sercu bić w powolniejszym rytmie.

- Oczywiście, że pamiętam. - Od tygodni, odkąd na parkingu przyczep mieszkalnych zobaczył dzieciaki uganiające się po jezdni, pracował nad swym pomysłem. Giełdą rzeczy używanych. - O co chodzi? - zapytał szorstko. - Nie lubił zachowywać się niegrzecznie, ale chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę i jechać do Bara Granatowych, zanim się rozmyśli.

Liz, pełna entuzjazmu, mówiła dalej:

- Sądzę, że dobrze będzie się sprzedawało także wypieki domowe.

Wiesz, o co mi chodzi. O pierniczki, ciastka, ciasta i inne słodczyce. Poproś Mamie, żeby coś upiekła. A my oboje podzwoimy do żon naszych kolegów z posterunku. Mam nadzieję, że gdy usłyszą, o co chodzi, zechcą nam pomóc.



- Mamie nie piecze ciast - suchym tonem oświadczył Steve. - O żonach kolegów z posterunku nie wiem absolutnie nic. Nie znam żadnej. Telefonując do nich i prosząc o pomoc, czułbym się głupio.
  - Znam je i chętnie się z nimi porozumiem. Pewnie wiesz, że na naszym posterunku pracuję już dość długo. Jeśli więc pomysł z wypiekami przypadł ci do gustu, zaraz zacznę telefonować.
  - Uważam, że pomysł jest świetny, ale sam będę zajęty gromadzeniem darów na giełdę. I chyba nie znajdę czasu, aby ci pomóc. Dasz sobie radę?
  - Jasne, że dam! Ale trzymaj kciuki, żeby nie wezwano nas do roboty. Rzadko się zdarza, abyśmy mogli cieszyć się weekendem wolnym od służby.
  - Wiem.
- Steve zamilkł na dłużej.
- Zdaje mi się, że ty i Mamie jesteście teraz zajęci - powiedziała Liz, usłyszawszy zdawkowe wypowiedzi Steve'a. - Więc kończę rozmowę.
  - Nie jesteśmy - zaprzeczył Steve. - A czy przyjechał Tom?
  - Nie.
- Liz powiedziała to tak ostrym tonem, że Steve ponownie zaczął się zastanawiać, czy ta para nie ma jakichś poważnych kłopotów osobistych. W tej chwili Mamie z głośnym mlaśnięciem szerokim, ciepłym i mokrym jęzorem przeciągnęła mu po twarzy.
- Oj, nie, Mamie. Przestań - powiedział odruchowo, szybko wierzchem dłoni ocierając wilgotne usta.
  - Czy coś wam przerwałam? - spytała Liz.
  - Nie. Tylko Mamie rozrabia. Sprzedaż słodczy to świetny pomysł. Zajmij się tym sama. A teraz muszę już kończyć.

Liz odwiesiła słuchawkę.

Steve siedział bez ruchu, wpatrując się w milczący aparat. Przez chwilę wydawało mu się, że Liz zaniepokoił fakt, iż całuje go jakaś kobieta.

- Chciałbyś, brachu, żeby tak było - powiedział półgłosem do siebie. - Ona ma swojego marynarza. Chłopa wielkiego i silnego. A ty, Miller, jesteś tylko jej służbowym partnerem i nikim innym, głuptaku, nie będziesz.

Mamie polizała go ponownie. Poklepał sukę po głowie, a potem rozparł się na kanapie i żeby włączyć telewizor, wziął pilota do ręki.

Odeszła mu ochota jechania do Baru Granatowych i poderwania tam jakiejś dziewczyny. Rozmowa z Liz pozbawiła go całego entuzjazmu, jaki zdołał w sobie wykrzesać, ponieważ, bez względu na to, jak temu przed sobą zaprzeczał, była jedyną, pożądaną przez niego dziewczyną. Objął psa i przyciągnął go do siebie.

- Coś mi się wydaje, Mamie, że jesteś moją jedyną kochanką - mruknął pod nosem.

Suka polizała go ponownie.

Przez całą sobotę Steve Miller był bardzo zajęty. Gromadził przedmioty подарowane na giełdę. Rower, różnego rodzaju zabawki, narzędzia, książki, a nawet meble. Koledzy z posterunku okazali się bardzo pomocni. Była szansa zdo bycia funduszy na przygotowanie placu zabaw dla dzieci oraz na zakup i ustawienie słupków ograniczających prędkość ruchu.

Przez cały czas Steve niemal modlił się o to, aby jego pager się nie odezwał. Nagłe wezwanie odciągnęłoby go od akcji charytatywnej. I gdyby tak się stało, musiałby odroczyć giełdę, gdyż nie było nikogo, kto mógłby go zastąpić.

W ciągu dnia wykonał kilka grzecznościowych telefonów do Liz, żeby ją zapytać, jak sobie radzi z zamawianiem wypieków, ale ani razu nie zastał jej w domu.

Dzwonił także w sobotni wieczór i ponownie telefon partnerki milczał jak zakłęty. Nie miała włączonej automatycznej sekretarki, więc nawet nie mógł zostawić żadnej wiadomości. Nie chciał korzystać z ostatecznej możliwości, jaką stanowił pager. Liz byłaby przekonana, że stało się coś złego, że to pilne wezwanie na posterunek lub od razu w teren.

Zastanawiał się, czy podczas nieobecności Toma ta dziewczyna z kimś flirtuje. Nadal pamiętał, jak dziwnie brzmiał jej głos, gdy pytał, czy ukochany zjawił się w mieście. Może jest z nią teraz jakiś inny mężczyzna? Myśl ta napawała Steve'a niechęcią. Liz nie sprawiała wrażenia kobiety niewiernej, a tym bardziej mającej armię kochanków.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Wiedział, że będzie musiał powziąć jakąś decyzję. Nadal uważał, że żadna kobieta nie powinna wykonywać tak niebezpiecznego zajęcia, jakim jest praca policyjnego wywiadowcy. A ponadto był już zmęczony ciągłym analizowaniem i powstrzymywaniem swoich uczuć w stosunku do Liz.

Po koszmarnej nocy, kiedy to Alan Booker trzymał ją na muszce, Liz pytała, czemu tak bardzo się wtedy denerwował. Powiedział że był zły na nią za niesubordynację, ale tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego. Po prostu martwił się o tę kobietę. Wprost odchodził od zmysłów, obawiając się, że stanie się jej coś złego. Powstała sytuacja boleśnie przypominała mu inną, podczas której stracił kogoś, kto był mu bardzo bliski.

Musiał szybko powziąć jakąś decyzję.

W niedzielę o dziewiątej rano Steve był przygotowany do uruchomienia giełdy. Wszystkie przedmioty zostały zwiezione na miejsce. Nigdzie jednak nie było śladu Liz.

Dzięki temu, że Steve'owi udało się zamieścić wzmianki w prasie i komunikaty w radiu, parking szybko wypełnił się ludźmi.

Sprzedaż trwała, przybywało pieniędzy, ale Steve robił się coraz bardziej zły na Liz, że do tej pory się nie pokazała. Na szczęście, około jedenastej zjawiała się Rosie. Pracując samotnie, Steve nie dawał już sobie rady.

- Gdzie pańska partnerka? - zapytała właścicielka parkingu, gdy poprosił, aby mu pomogła.

- Nie mam pojęcia - odparł ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

- Hej, nie wylewaj pan na mnie swojej złości - ostrzegła go Rosie. -

Jeśli jest teraz w łóżku z jakimś fagasem, nic na to nie poradzę. - Zmrużyła oczy i roześmiała się lekko. - Czy doprowadza to pana do szału?

Myśl o niej i jakimś facecie?

Steve wybuchnął gniewem.

- Czy pani zwariowała? Liz Casey jest tylko moją służbową partnerką. Gdybym nawet chciał, i tak nie mógłbym się z nią związać. A poza tym może sobie sypiać, z kim chce. Wolałbym jednak, żeby robiła to o innej porze. Nie wtedy, kiedy umówiła się ze mną i obiecała mi pomoc.

- Wczoraj harowała jak wół.

- O czym pani mówi?

Rosie opowiedziała Steve'owi, jak Liz udało się zmobilizować wszystkie mieszkanki przyczep do pomocy.

- Wczorajem przyjechała, żeby zabrać to, co przygotowałyśmy. Ja upiekłam pierniczki i kiedy po nie przyszła, opowiadała z zachwytem, jak wiele udało się zgromadzić różnych

przysmaków zrobionych przez matki, którym zależy na tym, aby ich dzieci mogły się bawić w bezpiecznym miejscu.

- A gdzie teraz jest?

- Nie mam pojęcia. - Rosie wzruszyła ramionami i odeszła, żeby obsłużyć następnego klienta.

Liz zjawiała się dopiero po pierwszej. Od razu zabrała się do rozstawiania stołów i wyjmowania pudeł z bagażnika w samochodzie.

Steve był akurat zajęty i nie mógł pospieszyć jej z pomocą. I dobrze, bo miał trochę czasu na opanowanie wzburzenia. Bez względu na to, dlaczego przyjechała tak późno, nie miał prawa mieć o to do niej pretensji. A poza tym mogłaby odgadnąć prawdziwą przyczynę jego rozdrażnienia. Był o nią zazdrosny!

Kiedy wreszcie udało mu się podejść do Liz, zobaczył w jednym pudle roztopione krówki.

- Och, są do niczego - mruknął. - Nie mogłaś zjawić się wcześniej?

Liz zamknęła oczy. Chyba była bliska łez.

- Przepraszam. Rozgrzały się w samochodzie, który musiałam zaparkować w nasłonecznionym miejscu. Ale reszcie, na szczęście, nic się nie stało.

Steve pomyślał, że jeśli natychmiast nie odejdzie od swojej partnerki, powie coś, czego będzie potem gorzko żałował, i przecież to, co robiła, nie powinno go obchodzić! to ona wpadła na pomysł pieczenia ciastek i sprzedawania ich na giełdzie. Jeśli chciała zniszczyć je, przesypiając się z jakimś facetem, to była jej sprawa.

- Steve, poczekaj. - Liz chwyciła go za rękę. - Chcę ci wyjaśnić, dlaczego się spóźniłam.

- To nie ma znaczenia - oznajmił suchym tonem, odwracając się od niej.

- Bez ciebie sprzedaż idzie całkiem dobrze.

Odchodząc, czuł palący wzrok Liz utkwiony w swoich plecach. Wiedział, że zrobił jej przykrość. Jemu też było piekielnie nieswojo, ale z całkiem innego powodu, którego, miał nadzieję, Liz nigdy nie pozna. Resztę popołudnia poruszał się półprzytomnie. Kiedy wreszcie się uspokoił, musiał przyznać, że zachował się jak idiota. I do tego zareagował zbyt ostro.

Kiedy wreszcie zniknął ostatni klient i zaczął zapadać zmrok, na placu boju pozostali tylko oboje z Liz. Steve poszedł zobaczyć, co jego partnerka robi. Pakowała swoje rzeczy. Udało się jej sprzedać wszystkie wypieki i słodczyce, nawet te nieszczęsne krówki. Pochwalił ją za to. I przeprosił za wcześniejsze zachowanie.

- Martwiłem się, co się z tobą dzieje. Wczoraj bezskutecznie dzwoniłem do ciebie przez cały dzień, nawet wieczorem. A kiedy Rosie powiedziała mi, że byłaś u niej na parkingu, aby zgromadzić to, co przygotowały mieszkanki przyczep, i nadal dzisiaj tu cię nie było, nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Liz błyszczącymi oczyma spojrzała na Steve'a.

- Chciałam ci powiedzieć, co się stało. To wręcz nieprawdopodobne! - Miała tak uszczęśliwioną minę, że Steve zaczął powątpiewać, czy ma ochotę usłyszeć te rewelacje. - Byłam u Alana Bookera.

W pierwszej chwili Steve nie wiedział, o kogo chodzi.

- Pamiętasz chłopaka na warunkowym zwolnieniu, który parę tygodni temu napadł na sklep alkoholowy?

- Pamiętam - mruknął Steve. - Byłaś u niego w więzieniu?

- Tak. To nie było łatwe - przyznała podniecona. - Już przedtem próbowałam kilkakrotnie go odwiedzić, ale nie chciał mnie widzieć, bo nie był pewny, czy może mi zaufać!

Wreszcie wczoraj wieczorem, kiedy opuściłam parking Rosie, spotkałam się z jego żoną. Przekonałam ją, że naprawdę chcę pomóc Alanowi. Namówiła męża, żeby zgodził się zobaczyć ze mną. Tak więc rano byłam w więzieniu - powtórzyła z tryumfem. - Chłopak złoży skargę na swojego kuratora, ponieważ wie, że jest ktoś, kto mu naprawdę pomoże. Zdziwiony Steve pokręcił głową.

- Nie dowierzam własnym uszom.

- Wiedziałam, że tak będzie. - Liz roześmiała się radośnie. - Och, Steve, nie umiem powiedzieć ci, jak dobrze się czuję! Kiedy wchodziłam do sali widzeń, chłopak był smutny i przygnębiony. Ale teraz, gdy ponownie uwierzył w siebie, stanie się innym człowiekiem. Uważam, że to wspaniale!

Oboje ze Steve'em stali za samochodem Liz. Za podniesioną klapą bagażnika. Zapalona w nim lampka była jedynym światełkiem w otaczających ich ciemnościach.

Steve widział, jak Liz promienieje szczęściem.

- Tak, wspaniale - potwierdził. Teraz żałował, że wcześniej nie wysłuchał Liz, by mogła podzielić się z nim swoją radością. A on, zamiast tego, zachował się okropnie.

- Pójdzie do więzienia, to oczywiste - ciągnęła Liz. - Sądzę jednak, że się uspokoi, przemyśli swoje życie i po wyjściu na wolność stanie się innym człowiekiem. A do tego czasu będzie pod sensownym nadzorem i otrzyma wsparcie, którego tak bardzo mu brakowało. Sama tego dopilnuję - oświadczyła z błyskiem oczach. Spojrzała na Steve'a. - Zarobiłam dziś sporo pieniędzy. Ja też sprzedałam wszystkie ciastka. Mam doskonale samopoczucie.

Nagle, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Steve nachylił się i pocałował Liz. Nie był to pocałunek długi. I nie był to pocałunek namiętny.

Objął stojącą przed nim kobietę, przyciągnął ku sobie i musnął wargami jej usta.

Kiedy puścił Liz, poczuł się jak idiota, gdyż jego partnerka stała jak ogłuszona i z rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w jego twarz. Miał ochotę ponownie wziąć ją w ramiona i nigdy już więcej nie puścić.

Zaraz potem jednak skarcił się za te myśli. Uznał je za bezsensowne.

Do licha, mimo że ta dziewczyna miała przyjaciela, a on sam przestrzegał w życiu żelaznych zasad, pożądał jej tak bardzo, jak jeszcze nigdy nie pragnął innej kobiety.

- Za... za co to było? - spytała drżącym głosem.

- Hm... - zająknął się. - To... podziękowanie za pomoc. Szybko odwrócił się i poszedł uporządkować plac po skończonej giełdzie.

Liz patrzyła na odchodzącego Steve'a. Była półprzytomna. Drżała na całym ciele. Już od dawna zdawała sobie sprawę z tego, że jej partner jest najbardziej zdumiewającym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Pełnym sprzeczności.

W jednej chwili czuła, że Steve jej nienawidzi. Była tego pewna. Ale w następnej była przekonana, że jest nią zainteresowany.

W żaden sposób nie potrafiła rozszyfrować stosunku Steve'a do siebie. Bo co do własnych uczuć do tego człowieka nie miała żadnych wątpliwości.

Po najśłodszym pocałunku w jej życiu.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ulubioną porą Liz były późne wieczory. Głaszcząc aksamitne futerko swego przyjaciela, czuła się bezpieczna. Tu, w domowym zaciszu, mogła oddawać się sekretnym marzeniom.

Tego wieczoru wróciła myślami do pocałunku Steve'a. Zastanawiała się, co oznaczał.

Był nagrodą za pomoc na giełdzie?

Wspomnienie tego wydarzenia wywołało uśmiech na jej twarzy.

Jeśli chodzi o całowanie się, nie była nowicjuską. Świetnie wiedziała, że nie było to podziękowanie za pierniczki. A może Steve naprawdę się nią zainteresował, lecz skrzętnie to ukrywa, wiedząc o istnieniu Toma? Może właśnie dlatego potem się zmieszał?

Tom, zwinięty w kłębek na łóżku, rozciągnął się i mruczając przytulił do stóp Liz.

Szturchnęła go lekko.

- Być może, staruszkule, uniemożliwiłeś mi romans - powiedziała do kota. - Steve myśli, że jesteś moim chłopakiem.

Nagle szeroko otworzyła oczy, bo uprzytomniła sobie istnienie Mamie. Steve miał przyjaciółkę. Był to niezaprzeczalny fakt.

Liz wytłumaczyła sobie, że jeśli pocałował ją nie dlatego, żeby w ten sposób okazać wdzięczność za pomoc w giełdzie, lecz z innych względów, okazał się mężczyzną niewiernym

swojej Mamie. Wydawało się to mało prawdopodobne. Mówił o niej czule i chyba był zwariowany na punkcie tej kobiety.

W każdym razie wiele ryzykował na parkingu, gdzie każdy mógł zobaczyć, że postępuje wbrew policyjnemu regulaminowi.

Liz tak szybko wstała z łóżka, że przestraszyła Toma. Z głośnym, pełnym dezaprobaty miauknięciem kot zeskoczył na podłogę i ukrył się pod łóżkiem.

To było to! Liz ogarnęła złość. Steve Miller, stary policyjny wyjadacz, dobrze wiedział, że najłatwiejszym sposobem pozbycia się babskiej partnerki jest przyznanie się do romansu z nią. Wtedy szef ich rozdzieli. Padła z powrotem na poduszkę i zakłęła głośno. Spod łóżka dobiegło pełne dezaprobaty miauczenie uciekiniera.

- Jego bezczelność nie ma granic! - wycodziła przez zaciśnięte zęby, mając na myśli oczywiście Steve'a. Odrzuciła koldrę. Zapaliła nocną lampkę, wstała i, rozzłoszczona, zaczęła chodzić po pokoju. - Wstrętny, podstępny łajdak! Ale udaremnię jego plany. Będzie miał się z pyszna, jeśli jeszcze raz spróbuje zachować się tak jak poprzednio.

Tom wysunął się spod łóżka i z niepokojem popatrzył na swoją panią. Liz wzięła go na ręce i przytuliła do siebie.

- W porządku, malutki. Jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu. A jeśli jeszcze raz ten cwaniak spróbuje wyciąć mi jakiś numer, zagrożę, że będzie miał z tobą do czynienia. Jest przekonany, że jesteś twardziel z marynarki.

W tej chwili odezwał się pager.

Liz spojrzała na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Mimo woli zadrżała. Wezwanie o tej porze? Musiało się stać coś bardzo złego.

Chwyciła za słuchawkę i zadzwoniła na posterunek.

- Mówi Casey. O co chodzi?

- Wzywa się wywiadowców, bo w obławie zorganizowanej pod Wulkanem jest potrzebne wsparcie - oznajmił dyżurny dyspozytor. - Nie znam szczegółów. Wygląda jednak na to, że jest to coś poważniejszego, niż myśleliśmy.

Liz jęknęła.

- O Jezu, musieli czekać aż do drugiej w nocy, żeby zdać sobie z tego sprawę?

- Casey, nie masz powodu do narzekania - warknął dyspozytor. - Ty i Miller byliście jedyną jednostką, która miała wolny weekend. Wszyscy inni ciężko pracowali.

- Chyba masz rację - przyznała Liz. - Zjawię się najszybciej, jak to możliwe.

- Nie przyjeżdżaj na posterunek. Rozmawiałem już z Millerem. Prosił, aby powiedzieć, że wpadnie po ciebie.

Liz odłożyła słuchawkę i w pośpiechu zaczęła się ubierać.

Ściągnęła nocną koszulę. Wyjęła z szafy dżinsy i bluzę od dresu. Do kabury wsadziła broń.

Podczas obław trzeba było być przygotowanym na różne działania.

Nigdy nie było wiadomo, czy trzeba będzie na piechotę gonić przestępcę, a nawet wręcz walczyć z nim.

Usłyszała warkot silnika nadjeżdżającego samochodu. Wiedziała, że to Steve.

Włożyła adidasy i chwyciła kaburę z pistoletem. Była już przy drzwiach frontowych, gdy Steve podnosił rękę, żeby zapukać.

- Jestem gotowa - oznajmiła, z trudem łapiąc dech.

- No to jedziemy! Po drodze powiem, o co chodzi.

Liz usiłowała się uspokoić. Musiała opanować nerwy. Złość na Steve'a i jego ostatnie wstrętne zagranie sprawiły, że czuła się jak bomba zegarowa, która w każdej chwili może wybuchnąć. W milczeniu słuchała wyjaśnień.

- Mulvaney i Spicer przez kilka nocy robili oblężenie na Czerwonej Górze. Stojący tam posąg...

- Wiem. To posąg Wulkanu, wykonany z żelaza. Symbolizujący wielki przemysł metalurgiczny i stalowy Birmingham. Turystyczna atrakcja.

Mówiła bezbarwnym, monotonnym głosem. Zwróciło to uwagę Steve'a.

- Chłopcy z brygady antynarkotykowej dowiedzieli się, że dziś przyjeżdża do miasta handlarz z dużą ilością trefnego towaru. Mulvaney i Spicer sami zaczęli się na niego. Ale kiedy dowiedzieli się, że podczas przeprowadzania transakcji ten facet będzie miał obstawę, postanowili prosić o wsparcie.

Skręcili w drogę prowadzącą na Czerwoną Górę.

- Jak było do przewidzenia - ciągnął Steve - współpracujący z nimi agenci z brygady antynarkotykowej na to się nie zgodzili. Chcą uchodzić za bohaterów i sobie przypisać całą zasługę. Mulvaney i Spicer nie zamierzają ryzykować. Dlatego tam jedziemy.

- Rozmawiałeś z nimi? - spytała Liz.

- Tak. Przez telefon komórkowy. Podobno spotkanie jest wyznaczone na trzecią trzydzieści nad ranem. Mają wiarygodnego informatora. Ufają jego słowom. Tym razem zanoszą się na solidną transakcję. Jak twierdzi Spicer, handlarz, który ma się zjawić, to gruba ryba. Podobno za jego pośrednictwem trafia do Birmingham około sześćdziesięciu procent wszystkich narkotyków. Gdyby udało się go zdjąć, byłoby to wielkie osiągnięcie.

- A jaka ma być nasza rola? - pytała dalej Liz.

- Mamy obstawić południową stronę parkingu poniżej posągu. Istnieje przypuszczenie, że transakcja odbędzie się w piknikowym lasku, tak że chyba nie zobaczymy niczego. Stanowimy dodatkowe ubezpieczenie. Nic ci się nie stanie.

- Nie musisz martwić się o mnie - warknęła Liz. - Sądzę, że już zdążyłam ci udowodnić, że potrafię o siebie zadbać.
- Widzę, że jesteś w kiepskim nastroju - stwierdził Steve. - Żal mi Toma. Na pewno nie był zachwycony, kiedy cię wezwano i wyciągnięto z jego objęć.
- Mamie też pewnie nie była uszczęśliwiona - odcięła się Liz. Steve odchylił głowę i roześmiał się głośno.
- Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie dzwonił do ciebie o drugiej w nocy.
- Masz dzwonić o każdej porze. Gdy tylko będę potrzebna - mruknęła Liz, sprawdzając broń. - Nawet wtedy, kiedy nie będzie ci to na rękę.
- Co masz na myśli?
- Świetnie wiesz.
- Nie.
- Jestem pewna, że wiesz.
- Rozzłościłem cię, wspominając o Tomie?
- Rozzłościłam cię, wspominając o Mamie? Steve milczał przez dłuższy czas.
- Słuchaj, Liz - odezwał się z wahaniem w głosie - jeśli ma to coś wspólnego z tym, co stało się poprzedniego wieczoru. ..
- Gdy coś ją gnębiło, Liz nigdy nie potrafiła długo trzymać języka za zębami.
- Ma - przyznała - ponieważ uprzytomniłam sobie, dlaczego to zrobiłeś i co zaplanowałeś. Zapewniam, że to ci się nie uda.
- Steve musiał ostrożnie prowadzić samochód. Miał przed sobą krętą drogę pod górę. Ze zdziwieniem spojrzął na Liz.
- O co ci chodzi? - zapytał.

Wyprostowana, patrzyła prosto przed siebie.

- Uważasz, że jeśli pójdziesz do szefa i oświadczysz, iż coś nas łączy, on natychmiast da ci innego partnera? Od pierwszego dnia o to ci przecież chodzi. - Rzuciła Steve'owi pełne wściekłości spojrzenie. - Przez te wszystkie tygodnie usiłowałam nie zauważać, jak na każdym kroku umniejszasz moje osiągnięcia i robisz ze mnie idiotkę. Uznałam, że jestem przeczulona i to wszystko mi się tylko wydaje. Aż do dzisiejszej nocy. Wreszcie zrozumiałam cel twego działania. I muszę stwierdzić, że to postępowanie paskudne. Niegodne uczciwego człowieka - dodała z niesmakiem. - Powinieneś się wstydzić. Całowałaś mnie, wiedząc, że jestem związana z innym mężczyzną. Za kogo mnie masz? Sądzisz, że idę do łóżka z każdym, kto nosi spodnie?

- Mylisz się, Liz. To nie tak...

Na dalszą rozmowę nie było już czasu. Właśnie dojechali do miejsca, w którym Steve miał spotkać się z Mulvaneyem.

- Później wrócimy do tej rozmowy. - Steve wysiadł z samochodu.

Z cienia wynurzył się Muh/aney. Przekazał im instrukcje.

- Macie być w pogotowiu, w razie gdyby jeden z tych ludzi próbował uciekać w tamtą stronę. - Wskazał kierunek. Wręczył Liz walkie-talkie.

- Tylko tak się kontaktujcie.

Kiedy Liz i Steve szli na wyznaczony punkt obławy, napięcie panujące między nimi było wręcz nie do zniesienia. Czekanie na handlarza narkotyków musiało się odbywać w całkowitym milczeniu.

Liz była na siebie zła, że nie trzymała języka za zębami i wygarnęła Steve'owi, co o nim myśli. Powinna była odczekać, bo w tej chwili żadnemu z nich nie był potrzebny dodatkowy stres. Była już jednak bardzo zmęczona grą Steve'a, udawaniem przez niego sprzymierzeńca, podczas gdy żale-

żało mu tylko na jej skompromitowaniu. A wzięcie w objęcia i pocałunek stały się przysłowiową ostatnią kroplą przelewającą czarę goryczy. Nie zdziwiłaby się, gdyby Steve polecił komuś ją obserwować... Nocną ciszę zakłócił nagle głośny wystrzał.

- Zaczyna się - szepnęła Steve. - Wysuńmy się do przodu i bądźmy gotowi, w razie gdy ktoś zacznie uciekać w tę stronę.

Wyszli z krzaków, które stanowiły ich kryjówkę, ale w ciemnościach żadne z nich nie zauważyło biegnącego mężczyzny.

Wpadł na Steve'a. Zaskoczonego niespodziewanym atakiem, powalił na piknikowy stolik i z całej siły uderzył w podbrzusze.

Liz wymierzyła pistolet w uciekającego mężczyznę i krzyknęła:

- Stój, bo strzelam!

Mężczyzna biegł dalej, ale Liz nie nacisnęła spustu. Nie wiedziała, jakie pozycje zajmują ludzie z brygady antynarkotykowej i nie chciała ryzykować. Zamiast handlarza mogła zastrzelić kolegę.

Było bardzo ciemno, ale udało się jej dostrzec, w jakim kierunku przestępca uciekał. Dobrze знаła tę okolicę, gdyż zaraz po przyjeździe do Birmingham mieszkała w pobliżu. Podejrzany biegł ku szpalerowi krzewów okalających betonowy parking lokalnej telewizji.

Zwolniła i zaczęła uważnie się rozglądać. Wyciągnęła walkie-talkie przypięte do paska.

- Tu Casey - powiedziała. - Czy ktoś z naszych jest na parkingu stacji telewizyjnej?

- Tu Bowden - odpowiedział jakiś głos. - Jestem na tyłach parkingu.

- Przejdź szybko na front, bo podejrzany biegnie wprost na ciebie.  
- Ruszam. Co tam się dzieje?  
- Nie mam pojęcia. Usłyszeliśmy wystrzał i opuściliśmy kryjówkę. Mil-  
lera uderzył uciekający człowiek, a ja pobiegłam za nim. Jest teraz bli-  
sko ciebie. Zajmij się nim.  
- O czym ty mówisz? Jestem już we frontowej części parkingu.  
- I dobrze, bo za dziesięć sekund podejrzany przedrze się przez szpaler  
azalii i wpadnie wprost na ciebie...  
- Jest! - tryumfalnie wykrzyknął Bowden. - Mam go!  
Liz usłyszała głośny jęk. Uciekający krzyczał, że ma złamane kolano.  
Po chwili rozległ się brzęk kajdanków. Bowden odczytał podejrzanemu  
przysługujące mu prawa. Dopiero wtedy przypomniał sobie o Liz.  
- Casey, sytuacja opanowana. Wracaj do partnera.  
Liz wycofała się na miejsce, w którym zostawiła Steve'a. Siedział na  
ławce. Doszedł już do siebie.  
Wszyscy biorący udział w akcji zgromadzili się pod posągami.  
Żaden z policjantów nie został ranny. Zginął handlarz i postrzelono  
trzech jego ludzi. Działanie z zaskoczenia przyniosło pełny sukces. Liz  
pomyślała z radością, że przynajmniej przez jakiś czas nie będzie na-  
pływu narkotyków do Birmingham.  
Bowden wiół swego więźnia na tylnym siedzeniu samochodu. Na wi-  
dok Liz wykrzyknął:  
- Dobra robota, Casey! Gdybyś mnie nie ostrzegła, że ten drań ucieka w  
moją stronę, pewnie bym go nie dorwał.  
Wszyscy gratulowali jej szybkiego refleksu. Mulvaney zapytał, skąd  
wiedziała, dokąd biegł podejrzany, więc mu wyjaśniła.



- Ale i tak nie uciekłyby daleko. Miał złamane kolano - dodała, umniejszając własne zasługi.

- Nieprawda - roześmiał się Bowden. - Chciał mnie tylko oszukać. Już szykował się do ucieczki. - Policjant poklepał Casey po ramieniu. - Spiśsałaś się bardzo dobrze.

Świadoma utkwionego w sobie zamyślonego wzroku Steve'a, powiedziała szybko:

- Wszyscy dobrze się spisaliśmy.

Zauważyła, że Steve z ociąganiem wraca do wozu, po drodze zatrzymując się na pogaduszki z kolegami. Czekala na niego cierpliwie, widząc, że co chwila na nią spogląda.

Gdy oboje znaleźli się wreszcie w samochodzie, nie skręcił w stronę wyjazdu na główną drogę. Zamiast tego podjechał na punkt widokowy, ulubione miejsce par, z którego rozciągał się przepiękny widok na Birmingham. O czwartej rano nie było tu nikogo.

- Po co tu stajemy? - spytała Liz, kiedy Steve ustawił samochód tak, aby mieli u stóp dywan utkany z tysięcy mrugających świateł miasta. Wyłączył silnik, usadowił się wygodnie i spojrzał na Liz, której twarz była skąpana w bladej poświacie.

- Musimy porozmawiać - powiedział. - Od chwili gdy oświadczyłaś, że wiesz, dlaczego pocałowałem cię wczorajszego wieczoru, nie mogę myśleć o niczym innym. Chyba dlatego nie byłem czujny i dałem się podejść temu handlarzowi.

Liz siedziała sztywno, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i patrzyła wprost przed siebie.

- Naprawdę sądzisz, że pocałowałem cię po to, żeby stworzyć pretekst do zmiany partnerki? - zapytał.

- A jaki inny mógłby być powód? - z godnością unosząc głowę, odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Steve roześmiał się. Miętko i prowokacyjnie. Liz spojrzała na niego ostrym, karcącym wzrokiem.

Szybko spowaźniał. Wpił wzrok w partnerkę i zapytał szeptem:

- Chcesz wiedzieć, dlaczego? Pocałowałem cię, bo tego pragnąłem.

Podobnie jak... w tej chwili.

Wyciągnął ręce i wziął Liz w ramiona.

Przyłgnęła do niego, mimo że rozsądek nakazywał odepchnąć Steve'a i dać mu reprimendę. Głos serca mówił jednak zupełnie co innego. Nakazywał ulec.

Steve objął dłonią jej twarz, wargami zaczął podniecająco muskać rozchylone wargi.

Zajęczała cicho. Zarzuciła ręce na szyję Steve'a.

- Nigdy bym cię nie skrzywdził - wyszeptał. - Musisz mi wierzyć. Jak sądzisz, dlaczego wpadłem we wściekłość, gdy tamten bandzior w sklepie wziął cię jako zakładniczkę? Obawiałem się o ciebie. I boję bez przerwy. Jesteś taka delikatna. I słodka...

Serce Liz biło jak szalone. Pragnęła poczuć wargi Steve'a na swoich ustach. Już dłużej nie potrafiła się okłamywać. Zakochała się w tym człowieku.

Wreszcie poczuła w ustach jego język.

Zwarli się w namiętym pocałunku. Ciałem Liz wstrząsnęły fale rozkoszy. Steve wsunął rękę pod biustonosz i pieścił już obrzmiałe piersi i naprężone sutki.

- Pragnę cię, Liz - wyszeptał do ucha. - Nie dbam o żadne regulaminy i zasady. Pragnę cię...

Kiedy zaczął rozpinać jej dzinsy, trochę oprzytomniała. Ponownie do głosu doszedł rozsądek. A może jednak chciał się jej pozbyć? Nie udało mu się wykazać braku fachowych kompetencji partnerki, więc próbował usunąć ją innym sposobem?

No to co? A niech próbuje! A ona przynajmniej dozna rozkoszy. Niech będzie to nawet tylko jedna wspólna noc. Zamiast dotychczasowej gorczy pozostaną upojne wspomnienia.

- Przenieśmy się na tylne siedzenie - zaproponował, mocując się z własnymi spodniami.

Nagle we wnętrzu samochodu zrobiło się widno. Ktoś latarką oświetlił wnętrze i odezwał się tubalny głos:

- Już dość. Jazda stąd, dzieciaki!

- Wóz patrolowy - szepnął Steve, błyskawicznie przyjmując pozycję siedzącą.

- Ruszajcie! - krzyknął policjant, powoli przejeżdżając obok zaparkowanego samochodu ze Steve'em i Liz.

Liz zaciągnęła do końca suwak w džinsach, usiadła i zaniepokojona spytała:

- Czy rozpoznał samochód?

- Mało prawdopodobne - odparł Steve. - To nie oznakowany wóz, używany tylko do tajnych akcji. Ale co robił do tej pory? Gdzie się podziewał? Gdyby solidnie patrolował swój teren, być może nie byłoby tu handlu narkotykami.

- Nie można być wszędzie naraz. - Liz wystąpiła w obronie policjanta. - "Wiem to z własnego doświadczenia. Jak wiesz, przedtem byłam w służbie patrolowej.

Steve włączył silnik.

- Lepiej ruszajmy. W przeciwnym razie ten gliniarz może wrócić i nas nakryć.

Jechali w milczeniu. Pierwsza odezwała się Liz:

- Może rzeczywiście nie powinniśmy pracować razem.

- Dlaczego? - obruszył się Steve. - Jesteśmy przecież dorośli. Wiemy, co robimy. Jeśli na posterunku dowiedzą się, że coś nas łączy, to każde z nas skierują do innej dzielnicy. Tak to się zwykle dzieje.

Liz westchnęła.

- Jest jeszcze inna niepisana zasada.

- Jaka?

- Jesteś związany z Mamie.

Liz nie zauważyła grymasu na twarzy Steve'a.

- A ty z Tomem - przypomniał.

- To prawda. - O mało nie udławiła się tym kłamstwem.

- A może w ogóle zapomnijmy o tym, co się stało? - zaproponowała, starając się usilnie, aby jej słowa zabrzmiały lekko i obojętnie.

Steve też nadrabiał miną.

- Dobrze. Chyba podziałał na nas nastrój tego romantycznego miejsca.

Poczułem się jak napalony małolat. Mam propozycję. Zatrzymajmy się gdzieś po drodze i zjedźmy śniadanie. Dobrze?

Liz wiedziała, że najlepszym dla niej rozwiązaniem byłoby szybkie rozstanie się ze Steve'em. Musiała ochłonać. Przemyśleć to, co się stało.

- Wolę od razu jechać do domu - odparła ze sztucznym uśmiechem. -

Możesz być mile zaskoczony, zobaczywszy, że Mamie czeka na ciebie z gotowym śniadaniem.

Steve pomyślał o wielkim, leniwym labradorze, który zapewne spał sobie w najlepsze, zwinięty na łóżku, od chwili gdy jego pan opuścił dom.

- Mogę - mruknął, zły na siebie, że nadal brnie w kłamstwie. - Gdyby tak się stało, byłbym naprawdę zaskoczony.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Liz nigdy nie przypuszczała, że udawanie nie zakochanej może być tak okropnie trudne.

W dni i noce, które nastąpiły po incydencie na Czerwonej Górze, pracowała jak automat. Wykonywała to, co do niej należało, a ze Steve'em porozumiewała się wyłącznie w sprawach służbowych.

Tylko raz próbował wszcząć rozmowę na drażliwy temat. Powiedział, że chciał się upewnić, czy naprawdę zrozumiała, iż w stosunku do niej nie kierują nim żadne ukryte motywy.

Zapewniła go, że mu wierzy. I że o wszystkim zdążyła już dawno zapomnieć.

Mimo to jednak napięcie między nimi było ogromne. Liz zaczynała pojmować, dlaczego zniechęca się pracujących wspólnie funkcjonariuszy policji do nawiązywania bliższych stosunków. Będąc razem na służbie, powinni skupiać całą uwagę na wykonywanym zadaniu.

Liz przyszło nawet do głowy, czy nie powinna poprosić o przeniesienie. Po chwili zastanowienia uznała jednak ten pomysł za zły. Nie chciała, aby mówiono, iż razem pracuje się im źle. Nie byłoby to korzystne ani dla niej, ani dla Steve'a.

Dopiero niedawno została wywiadowcą i miała niewielkie uprawnienia. Formalnie rzecz biorąc, był to dla niej jeszcze okres próbny. Za większe przewinienie mogła być na-

tychmiast zdegradowana i odesłana z powrotem do służby patrolowej. Nie było więc innego wyjścia, jak tylko robić dobrą minę do złej gry. Stojąc nad kuchennym zlewem, przygotowywała sałatę. O jej nogi ocierał się Tom. Pomrukiwał leniwie.

Liz nudziła się, podobnie jak kot. Jak w każdy wieczór wolny od służby. Na szczęście takie wieczory były rzadkością. Wywiadowcy musieli być gotowi na wezwanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Liz niemal łaknęła ciągłego zajęcia. Przebywania u boku człowieka, którego brak w pobliżu wywoływał uczucie tęsknoty i potęgował samotność.

Zadzwoił telefon. Liz poczuła nagle podniecenie, lecz zaraz potem uprzytomniła sobie, że gdyby było to wezwanie do pracy, odezwałby się pager.

Wytarła dłonie w papierowy ręcznik i podniosła słuchawkę. Usłyszała radosny głos ojca:

- Jak czuje się moja dziewczynka? - zapytał. - Czy nazywają cię już Brudną Liz?

Jęknęła. Zastanawiała się, czy ludzie kiedykolwiek porównywali wywiadowców do kogoś innego niż tylko do Clint Eastwooda w jego słynnej roli w filmie o Brudnym Harrym.

- Nie, tatku. Mam nadzieję, że jeszcze nie. Harry zabijał ludzi na prawo i lewo. A ja się modlę, żebym nigdy nie musiała tego zrobić.

- Tylko żartowałem - powiedział i roześmiał się.

Liz wiedziała jednak, że ojciec mówi serio. Był twardym, piekielnie upartym i dociekliwym policjantem. Na służbie nie było z nim żartów. Liz pamiętała, że kiedyś kogoś zabił. Okazał wyrzuty sumienia z powodu swego czynu, ale całe wydarzenie nie pozostawiło w nim żadnej psychicznej skazy.

- Jak ci idzie? - zapytał.

- Dobrze - zapewniła ojca.

- Miałaś ostatnio coś ciekawego?

Opowiedziała pokrótce o obławie w pobliżu Czerwonej Góry. Ojciec oświadczył, że jest z niej dumny.

- Pracujesz głową, a nie nogami - pochwalił ją. - Zastanawiałem się, czy ten wasz nowy wywiadowca, który przyjechał z Los Angeles, nie próbuje usuwać cię w cień i sobie samemu przypisywać wszystkie zasługi. Było do przewidzenia, że za partnera będziesz miała mężczyznę, ale zaniepokoiłem się, usłyszawszy, że facet jest z Kalifornii. Oni mają tam o sobie wysokie mniemanie. A nas uważają za wieśniaków.

- Tatku, nie masz racji. - Liz roześmiała się lekko. - Nie dowierzasz nikomu, kto nie pochodzi z południowych stanów.

- Chyba masz rację - przyznał. - Ale nie chcę, żebyś pozwalała sobą pomiatać. Właśnie z tego powodu chciałem, słonko, żebyś pracowała w policji w Montgomery. Nie pozwoliłbym nikomu źle cię traktować.

- Właśnie dlatego wyjechałam z Montgomery. Chciałam być samodzielna i nie traktowana szczególnie jako ukochana córeczka sierżanta Billa Caseya.

- Byłbym z ciebie dumny. Nadal jestem i dobrze o tym wiesz.

Tematem dalszej rozmowy było zbliżające się Święto Dziękczynienia.

Liz nie mogła obiecać, że spędzi je z rodzicami, mimo że do Montgomery była tylko godzina jazdy samochodem. Ojciec rozumiał córkę. Do ostatniej chwili nie będzie wiedziała, czy uda się jej przyjechać. Taką miała pracę.

Usłyszała brzęczyk telefonu. Ktoś usiłował do niej się dodzwonić. Musiała kończyć rozmowę z ojcem.

- Przepraszam, tatku. Dzwoni drugi telefon. Pewnie z posterunku.
- Przyjedziesz do nas, kiedy będziesz mogła. Bardzo za tobą tęsknimy. Mama mocno cię całuje. I uważaj na siebie, córeczko - dodał ojciec jak zwykle.
- Liz zapewniła go, że będzie ostrożna, odłożyła słuchawkę i z zapartym tchem czekała, aż odezwie się telefon. Przekonywała samą siebie, że to nie Steve.
- Bo niby dlaczego miałby dzwonić? Przecież nie mieszkał sam. Żył z jakąś kobietą. Jak długo jeszcze będzie to ją bolało?
- Telefon zadzwonił. Podniosła słuchawkę.
- Liz, to ty? Co robisz?
- Usłyszawszy głos Carol, westchnęła z rozczarowaniem.
- Kolację.
- Zostaw ją sobie na jutro i spotkajmy się w Barze Granatowych. Przychodzi tam facet z patrolu, który wpadł mi w oko. Nie chcę iść sama, żeby nie myślał, że na niego lecę.
- Carol, przykro mi, ale muszę ci odmówić. Nigdzie nie pójde. Jestem zmęczona i nikomu nie dam wyciągnąć się z domu. Chyba że będzie to wezwanie.
- Wcale nie taka znów kiepska perspektywa - odparła, śmiejąc się, Carol - kiedy pracuje się z Przystojniakiem.
- Nadal dziewczyny tak go nazywają?
- Aha, ale gdy dowiedziałyśmy się, że podobno ma kogoś w Los Angeles, porzuciłyśmy wszelkie nadzieje.
- Liz zmarszczyła czoło.
- On tutaj kogoś ma.
- Naprawdę? Jesteś pewna?
- Tak mi mówił. Ta kobieta ma na imię Mamie. I odnoszę wrażenie, że mieszkają pod jednym dachem.
- Nikt oprócz ciebie o tym nie wiedział - stwierdziła za-



skoczona Carol. - Tyle razy widywałam go w Barze Granatowych i nigdy nie było z nim żadnej dziewczyny.

- Mamie jest chyba trochę dziwna - powiedziała Liz. - Nie pracuje, nie gotuje i nigdy nie słyszałam, żeby gdzieś szli razem lub coś wspólnie robili. Prawdę powiedziawszy, Steve nigdy nic o tej Mamie nie mówi, chyba że ja go o nią zapytam.

- Rzeczywiście dziwne - przyznała Carol. - W każdym razie to wielka frajda pracować z tak atrakcyjnym facetem. Dobrze cię traktuje? Pamiętam, jak na początku wspominałaś, że nienawidzi kobiet.

- Chyba jako partnera wolałby mieć mężczyznę, aleja się nie uskarżam. Dobrze pracuje się nam razem.

- Miło to słyszeć.

- Powiedz, co dotarło do twoich uszu o jego dziewczynie w Kalifornii?

- Kartoteki personalne są, jak dobrze wiesz, poufne, ale ktoś się dowiedział, że Miller opuścił Los Angeles z powodu kobiety.

- To wszystko?

- Tak. Ale to chyba bez znaczenia, skoro mówił, że ma tutaj dziewczynę. Muszę koniecznie opowiedzieć ci o Wayne. Jest absolutnie naj... Znów brzęczyk dał znać, że do Liz dobija się następny rozmówca. Mogła włączyć „czekanie”, ale nie miała ochoty wysłuchiwać zachwyty Carol na temat nowego chłopaka i dalszego namawiania, żeby spotkały się w Barze Granatowych.

- Przepraszam, Carol, muszę kończyć. Mam następną rozmowę - szybko pożegnała przyjaciółkę.

Ponownie włączyła telefon. Usłyszała głos Steve'a:

- Cześć, Liz. Bałem się, że natknę się na twojego marynarza i nawymyśla mi za to, że do ciebie dzwonię.

- On... nie miałby do ciebie pretensji - wymamrotała Liz, zła, że Steve ją zaskoczył i nie potrafiła na poczekaniu wymyślić niczego dowcipnego.

- To dobrze. Co robicie dziś wieczorem?

Liz jęknęła w duchu. Chyba Steve nie zamierza zaprosić jej i Toma na wspólną kolację z Mamie!

Rzuciła okiem na kota. Leżał zwinięty na dywanie.

- Hm... Tom śpi - powiedziała. - Jest zmęczony. Miał wyczerpujący tydzień. Dopiero co wrócił do domu. Czuje się wykończony. - Oprzytomniała. - Steve, po co dzwonicz?

- Przygotowałem raport, który wymaga twojego podpisu. Chciałbym oddać go z samego rana.

- Przecież jutro mamy wolny dzień.

- Wiem, ale raport musi być złożony.

- W ten wieczór też nie mamy służby, co zdarza się niezwykle rzadko. Dlaczego go sobie psuć robotą?

- Bo... - Steve nabrał głęboko powietrza i je wypuścił, zanim się przyznał: - Bo to zaległa robota.

Liz roześmiała się.

- Dlatego że nawalasz, mam pomagać ci w wolny wieczór? Wiesz, co powinnam zrobić? - spytała żartobliwym tonem. - Odłożyć teraz słuchawkę, pogasić wszystkie światła, nie odpowiadać na pukanie do drzwi i zostawić cię z tym nieszczęsnym raportem. Żebyś miał nauczkę.

- Już ja się z tobą policzę! - warknął. - I nie myśl, że boję się twojego twardego marynarki.

Liz miała już dość tej rozmowy.

- Zgoda. Za kwadrans będę na ciebie czekała przed domem. Jeśli przyjedziesz wcześniej, nie używaj klaksonu. Zdenerwujesz sąsiadów.

- I Toma - dodał Steve. - A tego robić nie wolno.

Liz odłożyła słuchawkę i zaczęła schodzić na dół. Tom zerwał się z podłogi i po chwili wyprzedził swą panią.

- Oj, staruszkę - mruknęła. - Nie masz pojęcia, jakie mam przez ciebie kłopoty.

Dziesięć minut później znalazła się przed domem, ubrana w granatowy dres oznakowany wielkimi literami „PB”, skrótem nazwy policji w Birmingham.

Steve już czekał w samochodzie.

Spotkali się na rogu.

- Możesz podpisać raport w moim wozie - zaproponował. - Potrwa to tylko chwilę.

- Dobrze.

W świetle latarki pokazał Liz raport. Był to rutynowy dokument, ale rzeczywiście bardzo późno spisany. Steve wręczył Liz długopis. Pod jego nazwiskiem wpisała swoje i to było wszystko.

- Gotowe - powiedziała lekko zdenerwowana. - Wracam do domu.

Steve przytrzymał ją za ramię.

- Zostań jeszcze chwilę. Chciałbym z tobą porozmawiać. Poczula się niepewnie.

- O czym?

- Sądzę, że wiesz.

- Jeśli o tym, co stało się na Czerwonej Górze, to nie zamierzam z tobą na ten temat rozmawiać. Mieliśmy zapomnieć o tym incydencie. Dobrze wiesz, że nie powinien się wydarzyć.

- Może dla ciebie nie miał znaczenia, ale chcę, abyś wiedziała, że ja nie żałuję tego, co się stało.

- A powinieneś - skarciła go jak dziecko. - Postąpiliśmy źle. Uznajmy temat za zamknięty. W przeciwnym razie będę musiała wystąpić do szefa o przeniesienie.

- Jak, do diabła, mogłem posunąć się aż tak daleko, po tych wszystkich złożonych sobie obietnicach! - jęknął Steve.

- O czym ty mówisz?

Powinien zostawić Liz w spokoju. Jeśli jednak nie była w pełni szczęśliwa z Tomem, musiał się o tym dowiedzieć. A Liz powinna usłyszeć, że jedyna istota płci żeńskiej, która z nim mieszka, ma cztery nogi, ogon i mokry, zimny nos.

Liz położyła dłoń na klamce wozu.

- Będzie lepiej, jeśli już sobie pójdę. Steve ponownie przytrzymał ją za ramię.

- Zostań, proszę. Muszę ci coś wyznać.

Nerwowo starał sobie przypomnieć przeciwiony tekst o Mamie. Mówił o suce jak o dziewczynie dlatego, żeby Liz nie robiła sobie żadnych nadziei. Ale kiedy pocałował ją na parkingu po giełdzie, a potem na Czerwonej Górze, wiedział, że nie potrafi oprzeć się tej kobiecie. I to po tym, jak włożył tyle wysiłku i inwencji, żeby się jej pozbyć. W stosunkach z kobietami okazał się kompletnym idiotą.

- To wszystko mi sienie podoba - oschłym tonem stwierdziła Liz, wyrywając rękę z uścisku Steve'a.

- Wysłuchaj mnie, proszę. Chcę ci powiedzieć prawdę o Mamie.

W świetle lampy wiszącej nad werandą Liz zobaczyła jego twarz. Ściągnięte brwi i oczy pełne rozpaczy. Jeśli nawet miał z Mamie problemy, to i tak nie chciała o nich słyszeć.

- Steve, przecież ustaliliśmy, że nasze kontakty będą odbywały się wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej, i...

- Może to i racja. - Opadł ciężko na siedzenie wozu. - Masz Toma. Nikt inny nie jest ci do szczęścia potrzebny.

- Co to ma znaczyć? - Liz wyprostowała plecy.

- Jesteś zakochana. Nie interesuje cię nikt inny. Byłem idiotą, sądząc, że może ci na mnie zależeć.

Liz z wrażenia zamrugnęła gwałtownie powiekami. Przełknęła ślinę.

- A co z Mamie...?

- Mam w nosie Mamie. To nie moja dziewczyna.

- Nie twoja?

- Potem ci wszystko wyjaśnię, ale najpierw powiedz, co łączy cię z Tomem. Nie całowałaś mnie jak kobieta zakochana w innym facecie. Liz zachichotała. Nie mogła się opanować. Śmiała się i śmiała, a łzy ciekły jej po policzkach. Steve patrzył na nią tak, jakby straciła zmysły. Gdy wreszcie udało się jej wziąć w garść, otworzyła drzwi wozu i gestem wskazała Steve'owi dom.

- Chodź. Sądzę, że czas najwyższy, abys poznał Toma.

- Poczekaj. Nie wiem, co tak cię śmieszy, ale to nieważne. Widocznie zrobiłem z siebie jeszcze większego idiotę, niż myślałem. I chyba będzie lepiej, jeśli to ja poproszę szefa o przeniesienie.

Włączył silnik, nie ruszając się z samochodu. Liz przestała się śmiać.

- Proszę, chodź ze mną. Wolę pokazać ci, niż mówić. Wierz mi, to ja teraz czuję się jak idiotka.

Steve niechętnie, z ponurą miną wysiadł z wozu i ciężkim krokiem poszedł za Liz.

- Po co mam spotykać się z twoim chłopakiem? Ja tylko chciałem powiedzieć ci o Mamie. Ona jest...

- Wyjaśnisz to później - przerwała mu Liz, otwierając frontowe drzwi. Przyszło jej na myśl, że jeśli Steve'owi na niej zależy, a Mamie nie jest jego dziewczyną, to może oboje mają jakąś szansę...

Najpierw jednak Steve musiał usłyszeć prawdę o Tomie. Liz rozejrzała się po saloniku, a potem po kuchni. W końcu wskazała gościowi schody.

- Jest na górze - stwierdziła. - Pewnie pod łóżkiem.
- Pod łóżkiem?
- Tak.
- Możesz wyjaśnić, co on tam robi?
- Będziesz musiał sam go o to zapytać.
- Mówiłaś, że był zmęczony. Jeśli leży pod łóżkiem, to znaczy, że jest pijany. Będzie lepiej, jeśli poznamy się, gdy wytrzeźwieje.
- Och, jest trzeźwy - zapewniła Liz z tajemniczym uśmiechem.
- No to co robi pod łóżkiem?
- Lubi tam sypiać. Chodź na górę.

Na schodach Steve głośno wzdychał i mamrotał pod nosem:

- To wszystko jest bardzo dziwne.

Liz zapaliła światło w sypialni. Łóżko było posłane idealnie. Nigdzie śladu Toma. Wskazała podłogę.

- Tak jak przypuszczałam, jest tam.

Steve rozłożył ręce i odwrócił się w stronę drzwi.

- Wychodzę.

- Poczekaj, proszę. - Liz uklękła przy łóżku i uniosła materac. - Wychodź, Tom. Chcę, żebyś kogoś poznał.

- Idę! - wykrzyknął Steve, chwytając za klamkę.

- Już go widzę.

Przeważała ciekawość. Steve odwrócił głowę! Spod łóżka wylazł powoli wielki, złoty kot. Ziewnął i u-tkwił w gościu zaniepokojone spojrzenie.

- To jest Tom - oznajmiła Liz.

- Co... co takiego?! - Steve zaczął się jąkać. - Mówisz o tym kocie?

Skinęła głową. I nagle Steve wszystko zrozumiał.

- Tom nigdy nie istniał? Wymyśliłaś go sobie?

- Niezupełnie. Bo to jest Tom. Wtedy w Barze Granatowych Carol udawała, że ma na myśli mojego chłopaka, gdyż chciała wzbudzić twoją zazdrość. A potem ja sama podjęłam tę grę. Była mi na rękę. Steve nachylił się, aby pogłaskać Toma, ale kot najeżył sierść, wygiął się w łuk, gniewnie prychnął i ponownie schronił się pod łóżko.
- Nie jest przyzwyczajony do widoku w sypialni innych osobników płci męskiej - ze śmiechem powiedziała Liz.
- Cieszę się - mruknął Steve.
- Podszedł do Liz. Cofnęła się. Zanim pozwoli mu na dalszy krok, będzie musiał sporo wyjaśnić.
- Zejdźmy na dół i napijmy się kawy. Najwyższa pora, żeby oczyścić atmosferę. I chcę usłyszeć o Mamie. Wszystko.
- Mam lepszy pomysł. - Steve wziął Liz za rękę. - Najwyższa pora, abyś ją poznała.

RRS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Liz była tak bardzo zdenerwowana, że miała ściśnięty żołądek.

- Może przyjdę innym razem, za dnia. Pewnie poszła już spać. Steve miał ochotę się roześmiać.

- I tu się mylisz. Mamie zawsze wita mnie, gdy wracam do domu.

- Naprawdę powinniśmy odłożyć to spotkanie - upierała się Liz.

- Nie możemy. Dziś musisz dowiedzieć się prawdy o tej damie.

- Jeśli nie jest twoją dziewczyną, to dlaczego chciałeś, abym za taką ją uważała?

Steve zatrzymał samochód przed domem. Zaparkował w miejscu oznaczonym tabliczką z jego nazwiskiem.

- Może oboje kierowaliśmy się podobnymi pobudkami? - powiedział z uśmiechem na twarzy.

Liz poczerwieniały policzki.

- Chodź wreszcie - ponaglił ją Steve. - Nie zwracaj uwagi na bałagan. To kawalerskie lokum.

Jeśli dzielił je z Mamie, to powinna przynajmniej pomóc mu w sprzątananiu, pomyślała Liz.

Mieszkanie Steve'a znajdowało się na najwyższym piętrze, z tyłu budynku. Z dała od zgiełku ulicy. Mógł więc wysypiać się w dzień i pracować w nocy.



Gdy wchodzili do środka, Liz zauważyła, że w mieszkaniu nie palą się żadne światła.

- To idiotyzm - mruknęła. - Nie powinno się budzić nikogo. Wyjdźmy stąd. Wybierzemy się gdzieś na kolację. Ja stawiam - dodała, żeby zachęcić Steve'a do odwrotu.

Steve jednak wsadził klucz do zamka, obrócił go, a potem wystukał numer kodowy, aby wyłączyć alarm.

- Widzisz? - syknęła Liz z niechęcią. - Mamie śpi i nie będzie zachwycona...

Otworzył drzwi. W słabym świetle lampy z korytarza Liz zobaczyła, jak na Steve'a skacze coś ogromnego.

Odruchowo sięgnęła po broń, ale uprzytomniła sobie, że zostawiła ją w domu.

Niewiele myśląc, rzuciła się Steve'owi na pomoc. Po chwili znalazła się w objęciach wielkiego, czarnego potwora. Oboje wylądowali na podłodze.

Liz była przerażona. Krzyknęła ze strachu. Steve szybko zatrzasnął nogą wejściowe drzwi, żeby sąsiedzi nie usłyszeli hałasów, i zapalił światło.

Jego oczom ukazał się zdumiewający widok. Liz i Mamie tarzały się po podłodze. Poczciwa stara suka była przerażona. Usiłowała spacyfikować napastnika, liżąc go po twarzy.

Nagle Liz uprzytomniła sobie, że obejmuje potężne, ale bardzo wystraszone psisko.

- Co tu się dzieje?

Podniosła się z podłogi i surowym wzrokiem zmierzyła Steve'a, który ze śmiechu dostał konwulsji. Rzucił się na kanapę i ryczał z radości.

- Ten pies mnie zaatakował - oświadczyła Liz. - Uważasz, że to śmieszne?

Mamie pognała do swego pana, wskoczyła na kanapę i schroniła się w jego ramionach.

- To ty zaatakowałaś psa. Poznaj Mamie. To najbardziej poczciwa suka na świecie. Nikomu nie zrobiłaby żadnej krzywdy.

- Żartujesz.

- Nie. Mówię poważnie. Wychowuję ją od szczeniaka.

- I wmawiałaś we mnie, że to twoja dziewczyna? Dlaczego to robiłaś?

- Dokładnie z tego samego powodu co ty, gdy wmawiałaś we mnie, że Tom jest twoim przyjacielem.

Liz podeszła do kanapy. Przepraszająco poklepała Mamie po potężnym cielsku.

- Głupio mi.

- Teraz już wiesz, jak ja się czułem, gdy przedstawiałaś mnie swemu kotu. - Steve wstał i ruszył w stronę kuchni. - Dam jej biszkopta. Uspokoi się i będziemy mogli spokojnie pogadać.

Liz rozejrzała się po pokoju. Był typowym kawalerskim pomieszczeniem. Znajdowały się tutaj kanapa, wielki telewizor, magnetowid i odtwarzacz płyt kompaktowych. Niewiele więcej.

Wszędzie walały się puszki po piwie i magazyny sportowe. Na niskim stoliku leżało kartonowe pudło po pizzy.

Przez otwarte drzwi Liz dojrzała wewnątrz sypialni. Ze zdziwieniem zobaczyła idealnie zasłane podwójne łóżko.

Steve wrócił z dwoma kieliszkami i butelką wina. Mamie, z ogromnym psim biszkoptem w pysku, szła krok w krok za swoim panem. Potem skręciła do sypialni.

Liz uśmiechnęła się lekko.

- Ona też sypia pod łóżkiem?

- Nie. Ma własne posłanie. - Steve napełnił winem kieliszki. Jeden podał Liz. - Proponuję wznieść toast. Za nowy początek.

- Chętnie za to wypiję - oznajmiła Liz, siadając na kanapie.

- Zachowywaliście się idiotycznie - przyznał Steve. - Chcieliśmy dowieść sobie, że nic nie może nas łączyć.

Nagle Liz poczuła się nieswojo. Znajdowała się sam na sam z mężczyzną, który pociągał ją fizycznie. Odstawiła kieliszek.

- Odłóżmy tę rozmowę na kiedy indziej - zaproponowała.

- Dlaczego? - zapytał zdziwiony.

- Zrobiło się późno. Czy zechcesz odwiedzić mnie do domu?

Chciała podnieść się z kanapy, lecz Steve przytrzymał ją za rękę.

- Zostań, proszę. Teraz powinniśmy być razem. Potrzebny nam...

Na ustach Liz złożył lekki pocałunek.

Walczyła z sobą. Nie wiedziała, co robić.

Po chwili uznała jednak, że nie musi uciekać. Ma pełne prawo do radości i szczęścia.

Ale co będzie, gdy nastanie nowy dzień? zapytywał jakiś wewnętrzny głos. A jeśli będzie żałowała?

W życiu zawsze czegoś się żałuje, przekonywała sama siebie. Ale co z marzeniami? Może nadeszła pora, aby wreszcie je urzeczywistnić?

Może miłość do Steve'a okaże się uczuciem odwzajemnionym?

Z tą myślą poddała się. Ciałem i duszą.

Rozchyliła wargi. Poczula męskie palce błędzące po policzku. Wysłały impulsy pobudzające do życia całe ciało.

Steve pieścił Liz powoli. Bardzo powoli. Przez bluzę od

dresu sprawnie rozpiął biustonosz, a potem ujął w dłonie obnażone piersi.

Liz zaczęła odwzajemniać pieszczoty. Przeciągnęła palcami po zarosniętym torsie.

- Chyba od pierwszego dnia pragnąłem tej chwili - wyznał Steve, z uwielbieniem zatapiając wzrok w oczach Liz. - Tylko nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dopiero wówczas, gdy znalazłaś się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, zrozumiałem, jak wiele dla mnie znaczysz. Ale usłyszawszy, że masz już życiowego partnera, miałem związane ręce.

- Tak było do wydarzenia na Czerwonej Górze - przypomniała mu Liz.

- Fakt. Potem martwiliśmy się tym oboje. - Steve zaczął powoli rozpiąć suwak przy dzinsach Liz. - Ale mamy to już poza sobą.

Rozebrali się nawzajem. Pieścili się coraz mocniej i namiętniej.

- Pragnę cię - wyszeptała Liz. - Weź mnie, Steve. Weź. Błagam...

Drżąc z pożądania, Steve objął wargami naprężone sutki. Drażnił je językiem i zębami. Liz jęczała i wiła się, leżąc pod nim. Wyginała ciało w łuk. Pragnęła dać mu wszystko, czego zapragnął.

Starał się być czuły i delikatny, ale Liz każdym ruchem zachęcała go do coraz gorętszych pieszczot.

Wreszcie oboje osiągnęli szczyt. Równocześnie. Ich zmęczonymi ciałami wstrząsnęły dreszcze rozkoszy.

Po dłuższej chwili Steve przesunął się na bok. Ramieniem objął Liz.

- Muszę powiedzieć ci, słonko, że do tej pory nie wiedziałem, jak wygląda raj.

- Jestem taka szczęśliwa, że Mamie to suka. Chyba w prezencie kupię jej duży stek.

- A ja Tomowi piękną rybę. Wyłącznie na jego użytek.

- Może w czwórkę urządzimy sobie piknik?

- Sądysz, że się dogadają? Mamie jest łagodna, ale Tom?

- Dopóki nie będzie próbowała wyciągnąć go spod łóżka, sądzę, że jakoś im się ułoży - odparła Liz.

- Powinni zawrzeć pokój - powiedział Steve, głaszcząc jej policzek - bo mam nadzieję być z tobą bardzo, bardzo długo.

- To... dobrze - wyjąkała. - Ale przyrzeknijmy sobie mówić prawdę.

Jeśli ma nam się powieść, musimy być szczerzy i uczciwi wobec siebie.

- Będziemy - zapewnił Steve.

- I chcę nadal z tobą pracować.

- Dobrze. Będziemy zachowywać się tak, że nikt niczego się nie domyśli. Wyłącznie jak policyjni profesjonaliści.

- Nawet podczas nocnego śledzenia? Jeśli zechcemy zabić czas...

- Wtedy będziemy jeść i tak się utuczmy, że już nigdy więcej nie dogonimy żadnego podejrzanego.

Steve wyskoczył z łóżka, a Liz, oparta na łokciu, śledziła go wzrokiem.

Podszedł do szafy. Wyjął z szuflady piżamę i szybko nałożył spodnie.

Górną część rzucił Liz.

- Chodź, weźmiemy prysznic, a potem coś ci pokażę. Prysznic trwał dłużej, niż przypuszczali, bo znów kochali

się, tym razem w strumieniach wody. Wreszcie dotarli do kuchni.

Widok tego pomieszczenia zaskoczył Liz. Było idealnie czyste i wyposażone we wszystkie najnowocześniejsze kuchenne urządzenia. Oprócz lodówki znajdowała się tutaj mała

spizarnia. Kiedy Steve otworzył drzwi, Liz zobaczyła, że jest doskonale zaopatrzona.

Usiedli przy małym, dwuosobowym stoliku. Steve okazał się znakomitym panem domu. Podał omlet z kielbasą i serem, obłożony grzankami i przybrany plasterkami kiwi, a potem kawę z ekspresu. Były jeszcze sok ze świeżych pomarańczy i miseczka truskawkowego dżemu.

- Zdziwiasz mnie - oznajmiła Liz. - Widzę, że umiesz gotować.

- To moje hobby. Ale ciągły brak czasu sprawia, że zwykle jadam na mieście.

- Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że jesteś świetnym kucharzem.

- Nie uwłacza to prawdziwemu mężczyźnie.

Jedli z apetytem i rozmawiali o przyszłości i dalszej wspólnej pracy.

- Nikt nie może się dowiedzieć o tym, co nas łączy - powiedziała Liz. -

Będziesz musiał nadal udawać, że mnie nie znosisz i chcesz się pozbyć babskiego partnera.

- Liz, to nie tak - zaprotestował Steve. - Nie chodzi mi o ciebie. - Nagle spoważniał. - Mam po prostu uraz na punkcie niebezpieczeństw grożących kobietom pracującym w policji. Jeśli noszą broń i kuloodporną kamizelkę, oznacza to, że są stale narażone na niebezpieczeństwo. Nie potrafię się z tym pogodzić.

Liz zjadła resztkę pysznego omletu.

- Przecież dobrze wiesz, że przeszłam odpowiedni trening, żeby radzić sobie w trudnych sytuacjach - przypomniała Steve'owi.

- Tak, ale... - westchnął ciężko i powtórzył: - Nie potrafię się z tym pogodzić. Przysięgałem sobie, że nigdy... - urwał.

- Co przysięgałeś?
  - Że nigdy nie zwiążę się z osobą, z którą pracuję.
  - Masz na myśli tę dziewczynę z Kalifornii?
- Po kamiennej minie Steve'a Liz poznała, że poruszyła temat zakazany. Po chwili roześmiał się nerwowo i krótko.
- Jaką dziewczynę? - zapytał suchym tonem.
  - Coś usłyszałam od Carol Batson. - Wzruszyła ramionami.
  - Co?

Liz wypła łyk kawy.

- Podobno wyjechałeś na stałe z Kalifornii z powodu jakiejś kobiety. W odpowiedzi Steve roześmiał się tak fałszywie, że Liz zapytała:
- A więc to prawda?
- Nie. - Potrząsnął głową. - Opuściłem Zachodnie Wybrzeże dlatego, że była mi potrzebna zmiana otoczenia.
- Tylko z tego powodu?
- Tak.

Steve podniósł się z miejsca i wziął Liz w ramiona.

- Jesteś jedyną kobietą w moim życiu - oznajmił. Miała nadzieję, że to prawda. Bo mimo ciągle składanych sobie obietnic, że się nie zaangażuje emocjonalnie, nie potrafiła oprzeć się uczuciu, które nią zawładnęło. Była beznadziejnie zakochana w Stevie Millerze.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Otworzyła oczy wcześniej niż Steve. Lubiała te parę chwil przed odezwaniem się budzika. A także lubiała obserwować, jak Steve śpi. Było w nim coś chłopięcego. Zastanawiała się, czy ma jakieś sny.

Od sześciu tygodni spędzali razem prawie każdą chwilę. Oczywiście, po staremu rozchodzili się po pracy, by spotkać się później. Na kolacji w mało uczęszczanych restauracjach lub w kinie. Czasami chodzili do kręgielni lub na łyżwy.

Kiedy udawało się im razem spędzić noc, Liz była uszczęśliwiona. Raz spali u niej, a raz u Steve'a. Nadal dokuczali sobie na posterunku. Czasami nawet aranżowali kłótnie, żeby nikt nie podejrzewał ich o bliski związek.

Liz delikatnie dotknęła wargami czoła Steve'a. Zamierzała wysunąć się z łóżka i zaskoczyć go, przygotowując śniadanie. Ale to on niespodziewanie złapał Liz w objęcia i wciągnął na siebie, domagając się pocałunku.

- Wcale nie spałeś- powiedziała z wyrzutem, kiedy wreszcie ją puścił. - Przyglądałeś mi się ukradkiem, kiedy cię obserwowałam.
- To było urocze. - Steve uśmiechnął się i czule poklepał Liz po pupie. - Zawsze tak mnie podglądasz. Mam rację?
- Być może.
- Perwersyjna dziewczyna!



- To nie jest perwersja - zaprotestowała Liz. - Jeśli ci na tym zależy, możesz nazwać mnie podglądaczką.

- Och, a propos twojego domowego podglądacza. Jeśli następnym razem będzie chwycił mnie za stopy, gdy idę w nocy do łazienki, to marnie skończy.

- Polubiłeś Toma i dobrze o tym wiesz.

- Być może, ale on mnie nie polubił.

Steve przyciągnął Liz do siebie. Żałował, że na kochanie się nie mają już czasu.

Wstała z łóżka. Włożyła szlafrok na nocną koszulkę.

- Chciałam ci dziś zrobić niespodziankę, ale już nie zdążę. Biegnij pod prysznic, a ja tymczasem zajmę się śniadaniem.

Dramatycznym gestem Steve zakrył rękoma twarz i jęknął z udawaną rozpaczą:

- Och, tylko nie to! Ona zabiera się do gotowania! Chcą mnie wykończyć. Oboje. Ona i kot. Już po mnie!

Liz podniosła poduszkę i rzuciła nią w Steve'a.

- Jesteś wstrętny. Wiesz przecież, że nie jestem najgorszą kucharką.

Złapał Liz za nadgarstek i wciągnął na łóżko.

- Jesteś, moja droga, wspaniałą kochanką i nie dbam o to, czy umiesz zagotować wodę, czy nie, dopóki mogę...

Miał ochotę pocałować Liz, powiedzieć, że ma w nosie śniadanie i że zdążą do pracy na czas, gdy nagie odezwały się jednocześnie oba ich pagery.

Jęknęli. Liz zaproponowała, że zamelduje się pierwsza, a Steve dopiero po wzięciu prysznica. Poszła do saloniku, gdzie był drugi telefon.

Steve został w łóżku. Ponownie opadły go wyrzuty sumienia, że okłamał Liz i miał przed nią sekrety. Powinien wreszcie się przyznać, że opuścił Kalifornię z powodu kobie-

ty. Julie była jego partnerką. Sądził, że jest w niej zakochany, ale ona zginęła i... Koniec wyznania był zawsze taki sam. Obwinił siebie o jej śmierć.

Feralnego dnia posprzeczali się o coś błahego i byli na siebie rozgniewani. Julie oskarżyła go, że flirtuje z nową dziewczyną z patrolu. Zaprzeczył i oznajmił, że starał się być tylko uprzejmy. Ale jego partnerka należała do kobiet zaborczych i zazdrosnych i gdy tylko Steve spojrział na inną kobietę, robiła mu awantury.

Zazwyczaj przepraszał i starał się czułymi słowami uspokoić Julie. Mówił, że zawsze była, jest i będzie jedyną kobietą jego życia. W miarę jednak upływu czasu zaczynał tracić cierpliwość. I właśnie wtedy przebrała się miarka.

Wybuchnął. Powiedział Julie, że nie obchodzi go to, czy mu wierzy, czy nie.

Nie była przyzwyczajona do takich reakcji Steve'a, więc kiedy tamtej nocy otrzymali wezwanie, prawie się do siebie nie odzywali. A kiedy znaleźli się na miejscu zdarzenia, Steve ocenił sytuację i oznajmił, że powinni poczekać na wsparcie. Wtedy Julie warknęła, że nie zamierza go słuchać, i dobrze wie, co robić. Poszła i zginęła.

Steve wiedział, że jest bardzo wrażliwa i nerwowa. Gdyby wtedy obeszł się z nią łagodnie, nadal by żyła.

Ale jak to wszystko opowiedzieć Liz? Od tej pory nigdy już podczas akcji nie czułaby się przy nim bezpieczna. Steve zastanawiał się, jaka byłaby jej reakcja. Mogłaby się nawet tak rozzłościć, że doszłoby do zerwania. Powiedział jej nieprawdę. Zapytała go wprost o kobietę z Kalifornii, a on skłamał.

Coraz bardziej zależało mu na Liz. Z dnia na dzień coraz mocniej ją kochał. I jeśli ona w podobnym stopniu odwzajemniała jego uczucie, pewnego dnia mogliby się pobrać. Ale

przedtem musieliby odbyć poważną rozmowę. Steve nie chciał mieć żony pracującej w policji. Liz wyznała mu, że z tego właśnie powodu rozstała się z mężem.

Nie miał pojęcia, co robić. Wiedział jednak, że musi szybko porozmawiać szczerze z Liz, gdyż myślenie o ich wspólnej przyszłości rozprasało go podczas pracy. Było to piekielnie niebezpieczne.

- Zaczyna się typowy poniedziałek, co oznacza, że czeka nas zwykła służba - oznajmiła Liz, wbiegając do sypialni. - Wreszcie zjawiała się kobieta, która w zeszłym tygodniu była świadkiem napadu rabunkowego na sklep spożywczy. Rogan mówi, że jest gotowa zeznawać, i chce, abyśmy szybko ją przesłuchali, zanim się rozmyśli. Nadal jest przerażona, co prawdopodobnie oznacza, że rabusie pochodzą z tej samej dzielnicy co ona.

Szybko wzięli prysznic i się ubrali. Steve w garnitur z białą koszulą i krawatem, a Liz w żakiet, bluzę, spódnice i pantofle na dość niskich obcasach.

Na posterunku Steve natychmiast zajął się przesłuchaniem kobiety, naczelnego świadka napadu na sklep. Wiedział, że Liz nie przepada za tą robotą. Od pewnego czasu zastanawiał się, co tak naprawdę pasjonuje ją w wykonywanej pracy. Coraz częściej, gdy na posterunek sprowadzano podejrzanego, natychmiast chciała się dowiedzieć, czy był już karany. Jeśli odkryła, że jest na zwolnieniu warunkowym, usiłowała wybadać, co się stało, że ponownie popełnił przestępstwo i jakie były tego pobudki.

Kobieta złożyła zadowalające zeznanie. Steve uzyskał potrzebne informacje do sporządzenia nakazu aresztowania dwóch podejrzanych o napad na sklep. Poprosił Liz, żeby wypełniła formularze i załatwiła wstępne formalności.

Kiedy oboje dotarli do swego biura, w drzwiach powitał ich Walt Rogan.

- Miller, masz gości - oznajmił z szerokim uśmiechem na twarzy. Zaraz potem otoczył Steve'a tłum kobiet pod wodzą Rosie Craddock. Wszystkie miały w rękach balony. Rosie trzymała paczkę opakowaną w kolorowy papier.

Kobiety świętowały ukończenie placu dziecięcych zabaw na terenie parkingu przyczep, należącego do Rosie, a także postawienie słupków ograniczających prędkość pojazdów. Steve'owi ofiarowały ładny zestaw na biurko. Był to składkowy prezent od mieszkanek przyczep.

Przyszły też z tortem. Wszyscy w biurze dostali po kawałku. Wycho-  
dząc, każda z kobiet serdecznie ucałowała i wy-ściskała Steve'a.

Kiedy zniknęły, Larry Spicer poklepał go po plecach.

- Miller, stałeś się bohaterem - powiedział kpiącym tonem.

Zaczęły się też docinki Mulvaneya. Liz wiedziała, że nie są złośliwe, ale uznała, że nie należało w ten sposób umniejszać zasług Steve'a.

- Jesteście zazdrośni - oświadczyła - bo nigdy w życiu nie spełniliście tak szlachetnego uczynku. Odczepcie się od Millera. Udało mu się zrobić coś dobrego... wreszcie - dodała, żeby jej słowa nie wzbudziły niczyich podejrzeń.

- Casey, piękne dzięki - odezwał się Steve. - W twoich ustach pochwała? To niezwykle!

- Casey! - ze swego gabinetu zawołał Rogan. - Masz gościa. Przyszła niejaka Karen Booker.

- Kto to taki? - spytał Steve.

- Potem ci powiem. Weź z sobą te nakazy aresztowania, tak żebyśmy zdążyli przymknąć podejrzanych, gdy tylko skończę rozmawiać z Karen.

Liz zbiegła szybko na dół. Wiedziała, że jeśli powie Ste-

ve'owi, że chodzi o mężczyznę, który w sklepie alkoholowym przykładał pistolet do jej głowy, ten będzie zadreślał ją pytaniami.

Karen Booker, w ostatnim miesiącu ciąży, siedziała na ławce w zatłoczonym korytarzu. Wstała na widok Liz.

- Bardzo dziękuję, że zechciała pani zobaczyć się ze mną.

- Uścisnęła ją serdecznie.

Policjanci ze zdziwieniem obserwowali powitanie obu kobiet. Było nietypowe. Zwykle wymyślano tu gliniarzom od najgorszych.

Kobiety przysiadły na ławce poza zasięgiem wzroku ciekawskich.

- Karen, czy coś się stało? -- z niepokojem spytała Liz.

- Miałaś złe wieści od Alana? Nie kontaktuję się bezpośrednio z więzieniem, ale staram się wiedzieć, co u niego się dzieje.

- Wiem. Dziękuję też za telefony do mnie.

- Co cię dziś sprowadza?

- Nie mogłam się doczekać, żeby powiedzieć pani o moich wczorajszych odwiedzinach u Alana.

Był w więzieniu w Kilby. Miał dokończyć poprzednią karę i odsiedzieć dodatkowe sześć lat za napad na sklep. Rozpromieniona Karen powiedziała, że pozwolono mu ukończyć kurs komputerowy. Podobno szło mu tak świetnie, że jeden ze strażników obiecał wziąć go do biura. Tam będzie mu łatwiej. Za jakieś dwa lata wyjdzie na warunkowe.

- Alan bardzo się zmienił - zapewniła Karen. - Napra; wdę. Wreszcie zaczął wierzyć w siebie. To głównie zasługa pani.

- Sam chciał się zmienić. - Kurator sądowy, który nim pomiałał i nazywał śmieciem, dostał naganę. Liz miała na-

dzieję, że po tej nauczce będzie traktował następnych podopiecznych bardziej przyzwoicie.

- Bardzo pomogła pani Alanowi - ciągnęła Karen - wizytami w więzieniu i obecnością na rozprawie. Wiele pani zawdzięczamy.

- Nic mi nie zawdzięczacie - zaprotestowała Liz. - A co z tobą? Kiedy spodziewasz się rozwiązania?

- Za dwa tygodnie. Badanie ultrasonograficzne wykazało, że będzie to dziewczynka. Damy jej pani imię. A w ogóle to minęła się pani z powołaniem - dodała Karen. - Powinna być pani kuratorem, a nie gliniarzem. Po odejściu młodej kobiety Liz wróciła myślami do jej słów. Pomoc Alanowi Bookerowi sprawiła jej znacznie więcej satysfakcji niż jakkolwiek inna, czysto policyjna robota.

- Hej, Liz!

Odwróciła się, usłyszawszy głos Carol.

- Co tu robisz? - spytała przyjaciółkę.

Ze zdziwieniem dostrzegła, że Carol ma na sobie mundur służby patrolowej.

- Podoba ci się? - spytała z dumą w głosie. - A to zauważyłaś? - Poklepała naszywkę oznaczającą przynależność do Pierwszego Posterunku. - Na widok zdumionej miny Liz dodała roześmiana: - Tak, pracujemy razem. Gdybyś raczyła odpowiadać na moje telefony, wiedziałabyś, że tu jestem.

- Przepraszam. - Liz była tak zaabsorbowana Steve'em, że zapomniała o bożym świecie. A starając się ukryć ich romans, nie rozmawiała z Carol i nawet nie kontaktowała się z rodziną.

- Powiedz, jak do tego doszło, że tu się znalazłaś - poprosiła przyjaciółkę.

Carol oświadczyła, że zdecydowała się wprowadzić do swego życia pozytywne zmiany. Czekanie, aż pozna mężczy-

znę nadającego się na męża, okazało się nużące. Postanowiła więcej czasu poświęcić sprawom zawodowym. Ukończyła kursy wieczorowe, wykazywała znacznie większy zapał do pracy i kiedy na Pierwszym Posterunku zwolniło się miejsce w brygadzie patrolowej, złożyła podanie i została przyjęta.

- A więc tu jestem - oznajmiła zadowolona. - Będziemy mogły widywać się codziennie. A teraz twoja kolej. Mów, co działo się u ciebie przez te parę tygodni. Dlaczego po służbie ciągle jesteś zajęta? Kim jest ten facet?

- Och, to nikt ważny. - Liz machnęła lekceważąco ręką i szybko zmieniła temat. Opowiedziała o sprawie Alana Bookera i o tym, że często odwiedza go w więzieniu i widuje Karen, ją też podtrzymując na duchu. Zrobiło to wrażenie na Carol.

- Szlachetnie postępujesz - pochwaliła przyjaciółkę. -Może powinnaś zmienić zawód i zacząć pracować jako kurator sądowy?

Liz roześmiała się lekko.

- Jesteś dziś drugą osobą, która mi to mówi.

- No to zdecyduj się. Z twoim policyjnym wykształceniem nie powinnaś mieć żadnych kłopotów.

- Musiałabym przejść specjalne szkolenie.

- W każdej chwili możesz to zrobić.

- Przyprawiłoby to mojego tatę o atak serca - odparła Liz. - Jest bardzo dumny z córki-wywiadowcy. O pracy kuratora wyraża się z pogardą.

- Złotko, chodzi o twoją przyszłość - powiedziała Carol.

- Tak, wiem. Ale mnie nigdy nawet nie przeszło przez myśl, że mogłabym rzucić pracę w policji. Gdyby tata tak bardzo nie nalegał, żebym została wywiadowcą, pracowałabym nadal w służbie patrolowej. To kwestia rodzinnych tradycji.

- Może nadszedł czas, żebyś zaczęła samodzielnie myśleć o własnym losie? Sama wiesz, że nie stajesz się młodsza. Jeśli uznasz, że warto się przekwalifikować, to zrób to od razu. - Carol nagle zmieniła temat. - Co u Przystojniaka? Nadal pracujecie razem? Jakoś ostatnio nic o was nie słyszałam. Nawet on, że nie powiem o tobie, nie pokazuje się w Barze Granatowych.

Liz poczuła się nieswojo. Carol była bystra i potrafiła szybko dodać dwa do dwóch.

- Tak, pracujemy razem. Dogadujemy się bardzo dobrze. Opowiedz mi o swojej nowej robocie.

- Wszystko o niej wiesz - stwierdziła Carol. - Pamiętasz, że sama ją wykonywałaś? Wyjaśnij mi lepiej, dlaczego nigdy nie chcesz rozmawiać o Millerze.

Liz poczuła się jak na przesłuchaniu.

- Bo nie ma o czym mówić - odparła. - Jest moim partnerem. Działamy razem i to wszystko.

- Jest ponadto piekielnie przystojnym facetem. Liz, już ci mówiłam, szaleją za nim w policji wszystkie niezamężne dziewczyny. Włącznie ze mną. A ty bez przerwy przebywasz w jego towarzystwie. Musisz reagować podobnie jak my. Chyba że facet jest wredny.

- Nic podobnego! - Liz opowiedziała, w jaki sposób Steve zdobył fundusze na urządzenie placu zabaw dla dzieci na parkingu, o nowych słupkach ograniczających prędkość pojazdów i o wizycie mieszkańek przyczep na posterunku, z prezentem i tortem. - Steve sprawia wrażenie człowieka twardego i nieczułego, ale w rzeczywistości jest zupełnie inny. Jest moim partnerem. Nikim więcej. Jako mężczyzna zupełnie mnie nie podnieca - dodała, uśmiechając się nieszczercze.

- On też zachowuje się obojętnie w stosunku do ciebie? - spytała Carol.



- Tak.

- A przecież jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką znam - ciągnęła przyjaciółka. - Wiesz, co sobie pomyślałam?

- Nie wiem, ale muszę już iść. Może umówimy się na lunch?

- Sądzę, że chodzi o tę kobietę z Kalifornii. Liz zeszytniała.

- Jaką kobietę? - spytała ostrym tonem.

- Już ci wspominałam. Pewnie rzuciła go dla innego faceta, a on, wkurzony, opuścił Los Angeles.

Liz poczuła się okropnie.

- Muszę iść. Mam dwa nakazy aresztowania. Jeśli szybko nie przyskrzynimy podejrzanych, to nam uciekną.

Już miały rozejść się w przeciwne strony, kiedy Carl Bundy zza biurka dyspozytora zawołał do Liz:

- Hej, Casey, powiedz Millerowi, że przyszła do niego jakaś kobieta.

Podobno w ważnej sprawie.

Od biurka Bundy'ego odeszła młoda, elegancko ubrana, wypielegnowana kobieta o blond włosach i zgrabnej figurze. Podeszła do Liz.

- Muszę zobaczyć się ze Steve'em - oświadczyła. - To mój przyjaciel.

- Powiem, że pani tu jest. - Liz poczuła ukłucie zazdrości. - Ale oboje wychodzimy. Pewnie poprosi, żeby pani na niego poczekała.

Kobieta roześmiała się dźwięcznie.

- Kiedy dowie się, że czeka Marla Nivens, zjawi się natychmiast - oznajmiła z ogromną pewnością siebie. - Wyjechał z Los Angeles, bo miał problemy, z którymi musiał się uporać...

A więc to jest kobieta z Kalifornii, pomyślała Liz. Nie miała ochoty dłużej słuchać jej wynurzeń. Ruszyła w stronę schodów. Wiedziała jedno. Że Steve ją okłamał.

Steve siedział z kopertą w ręku. Był zirytowany.

- Poprosiłem Mulvaneya i Spicera, żeby z nami pojechali - powiedział - bo właśnie dowiedziałem się... - Dopiero teraz zobaczył rozgniewaną minę Liz. Jej oczy ciskały błyskawice. Zapytał szybko: - Co się stało?

Nie byli sami, więc oznajmiła obojętnym tonem:

- Masz na dole gościa.

- Nie czas na żarty. Musimy natychmiast jechać, zanim podejrzani dowiedzą się, że zostali zidentyfikowani, i uciekną. Wiemy, gdzie teraz są, i...

- Powiedziała, że nazywa się Marla Nivens i że zechcesz z nią się zobaczyć.

Steve zbladł jak ściana, ustami zaczął nerwowo łapać powietrze. Bez słowa zerwał się z miejsca i niemal biegiem wypadł z pokoju.

Mulvaney spojrział na Spicera, który zapytał:

- Co go ugryzło?

- Nic - odparła Liz. Wzięła nakazy aresztowania. - Przez jakiś czas Miller będzie zajęty. Może nawet nie wróci. Jedziemy sami.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gdy Steve zbiegał po schodach, jego serce biło jak szalone.

- Miło cię widzieć - przywitała go Marla. Wprowadził gościa do pustej poczekalni.

- Jak mnie odnalazłaś? - zapytał oschłym tonem. Marla usiadła na kanapie. Wyglądała na zdenerwowaną.

Ostatni raz widział ją na pogrzebie Julie, na którym wraz z resztą rodziny oświadczyła mu, że ponosi odpowiedzialność za śmierć siostry.

- Nikt z twoich znajomych nie chciał mi powiedzieć, dokąd wyjechałaś. Pomyślałam, że wcześniej czy później zabierzesz się do pracy i będą potrzebne ci referencje. Tę informację uzyskałam w komendzie.

- Była poufna. Chciałem rozpocząć nowe życie, nie martwiąc się, że wróci koszmar tamtych dni... Jak w tej chwili.

- Wybacz, że przysłałam. Muszę coś ci powiedzieć.

- Nadal nie wyjaśniłaś, w jaki sposób dowiedziałaś się na policji, dokąd się przenieśliem.

- Kosztowało mnie to pięćset dolarów. Przekupiłam dziewczynę w dziale kadr.

Steve nigdy nie interesował się Marlą. Była ładna, ale pusta, egoistyczna i zepsuta. Jej mąż, Jack Nivens, był przedsiębiorcą budowlanym, ciężko harującym po to, aby żona mogła kupować sobie eleganckie stroje.

- Gdy cię widziałem ostatni raz, oskarżałaś mnie o śmierć

twojej siostry, bo tak ją zdenerwowałem, że nie wiedziała, co robi. Wymyślałaś mi od drani i łajdaków. Między innymi uciekłem przed tobą. Do diabła, mów wreszcie, po co tu jesteś!

- Nie miałam prawa mówić ci wtedy takich rzeczy. Ale byłam zrozpaczona i wściekła. Musiałam na kimś się wyżyć. Nie byłeś odpowiedzialny za śmierć Julie.

- Przecież nie wiesz, co stało się tamtej nocy.

- Wiem, Steve. Wiem. - Marla wyglądała tak, jakby zamierzała się rozplakać. - Bo, w przeciwieństwie do ciebie, dobrze znałam moją siostrę. Była samowolna i piekielnie uparta. Kiedy podjęła pracę w policji, martwiła się o nią cała rodzina, bo Julie nigdy nie potrafiła nikomu się podporządkować ani słuchać poleceń.

Steve miał dość. Chciał wracać do Liz i wszystko jej wyjaśnić, bo pewnie sądziła, że Marla jest jego dawną kochanką z Kalifornii, której istnienia się wyparł.

. - Tamtej nocy poleciłem jej czekać na wsparcie. Było to po kłótni, podczas której po raz pierwszy postanowiłem nie ustąpić. Wybrałem zły moment.

- Wasza kłótnia nie miała nic wspólnego z tym, co stało się tamtej nocy.

- Nie rozumiem.

- Julie zadzwoniła do mnie i oznajmiła, że flirtujesz z inną kobietą. Ponadto oświadczyła, że jesteś egoistą, który po trupach dąży do awansu na porucznika. Wiem, że to nieprawda. Ale Julie postanowiła, że to jej przypadnie wyższy szczebel kariery, a nie tobie. Postanowiła czymś się wyróżnić. - Marla popatrzyła niepewnie na kamienną twarz Steve'a. -

Czy ty nadal nic nie rozumiesz? Nie zamierzała czekać na wsparcie. Postanowiła sama zdobyć uznanie. I stopień porucznika. Dlatego nie zachowała ostrożności. Wątpię,

Iczy udałooby ci się ją uratować, chyba że użyłbyś siły fizycznej.

- Powiniennem ją powstrzymać - powiedział Steve przez zaciśnięte zęby.
- W każdym razie nie wolno ci obwiniać się o to, co się stało. Julie zamierzała odebrać ci awans.

Steve poczuł bolesny skurcz w żołądku. Wolałby nie usłyszeć prawdy, gdyby nawet do końca życia miał winić się za śmierć Julie. Ale Marla zrobiła to, co uznała za słuszne. Też poczuła się rażniej, zrzuciwszy kamień z serca.

- Steve, chcę, abyś wiedział jeszcze jedno -rzekła, zbierając się do wyjścia. - Kochałam Julie i mówiąc ci, jak było naprawdę, w jakimś sensie dopuściłam się wobec niej zdrady.

- Dziękuję, że przyjechałaś. Płacząc, wybiegła z poczekalni.

W biurze Steve nie zastał nikogo. Zajrzał do Rogana.

- Gdzie Casey? - zapytał. Zwierzchnik podniósł głowę znad papierów.

- Pojechała z nakazami aresztowania.

- Sama?

- Nie. Z Mulvaneyem i Spicerem. Steve rąbnął pięścią w biurko Rogana.

- Do zatrzymania tych ludzi jest potrzebny oddział specjalny! Wiemy, że są uzbrojeni po zęby. Mają automaty.

Rogan odchylił się fotelu i popatrzył na Steve'a.

- Miller, weź się w garść - poradził. - Casey i jej dwaj koledzy to do-

brzy wywiadowcy. Sądzę, że w trudnej sytuacji w trójkę sobie poradzą.

- Ma pan rację. - Steve z trudem opanował nerwy. - Jestem niezadowolony, że mnie zostawili. Pojadę za nimi.

Odszukał adresy podejrzanych. Mieszkali w obskurnej dzielnicy domów czynszowych w dolnej części Birmingham.

Wsiadł do własnego, nie oznakowanego wozu i ruszył jak szalony. Nie rozpoznany, mógł dojechać na miejsce.

Na obrzeżu dzielnicy dostrzegł pusty samochód Mulvaneya i Spicera. Postanowił zrobić szybką rundę i zlokalizować dom, w którym przebywali podejrzani. Pytanie przechodniów nie byłoby bezpieczne. Mogli należeć do tej samej bandy.

Po pięciu minutach odnalazł dom. Zastanawiał się, dlaczego Mulvaney i Spicer tak daleko zaparkowali samochód, i gdzie teraz są. Założywszy, że obaj wsiedli do wozu Liz, zaczął ponownie objeżdżać kwartał budynków.

Wreszcie dojrzał samochód partnerki, też zaparkowany daleko od miejsca, w którym znajdowali się podejrzani. Ulica była opustoszała. Nie było widać nawet bawiących się dzieci.

Steve wysiadł z wozu i zaczął od tyłu obchodzić sąsiednie budynki. Miał nadzieję, że Liz nie zapuka do frontowych drzwi. Nie miała na sobie kuloodpornej kamizelki. Przyjście Marli uniemożliwiło mu ostrzeżenie pozostałych wywiadowców, że podejrzani są bardzo niebezpieczni i z pewnością będą stawiać opór, jeśli już nie opuścili miasta.

Steve zobaczył kwadratowy budynek z napisem „Automatyczna pralnia”, znajdujący się na rogu ulicy, na wprost wejścia do budynku, w którym prawdopodobnie ukrywali się podejrzani. Może Liz i koledzy użyli pralni jako punktu obserwacyjnego?

Miał rację.

Wszedł do środka i zastał całą trójkę przyczojoną pod oknem.

- Są tam - wyszeptał Larry Spicer. - Dziesięć minut temu weszli do środka. Jesteśmy gotowi zacząć akcję.

- Nie - oświadczył Steve. - Wezwiemy oddział specjal-

ny. Zapukanie do drzwi tych ludzi równałoby się samobójstwu. Przez telefon komórkowy Steve zażądał przybycia oddziału specjalnego. Nie patrzył na Liz, lecz czuł na sobie palące spojrzenie jej oczu. Pragnął jak najszybciej wszystko jej wyjaśnić i wyznać prawdę. Kochał tę dziewczynę i nie mógł jej stracić.

- Wychodzimy - nakazała ostrym tonem. - Lada chwila może ktoś tu wejść i chcieć zrobić pranie. Trzeba by go usuwać, a wtedy powstałoby zamieszanie - dodała tytułem wyjaśnienia.

Steve zauważył, że Liz jest wściekła. Pozostali wywiadowcy nie zwrócili na to uwagi. Odezwał się:

- Mielicie szczęście, że udało się wam dotrzeć aż tak blisko celu, ale z pralni nie możemy wychodzić razem.

- Musimy spływać. Zbliżają się dwie kobiety z koszami pełnymi bielizny - zawiadomił Spicer, przez okno obserwujący ulicę.

- Gorzej, bo widzę ruch w pobliżu frontowych drzwi - dodał Mulvaney, obserwując mieszkanie przez lornetkę. - Szykują się do wyjścia.

Na czoło Steve'a wystąpił zimny pot.

- Casey, wychodź pierwsza - polecił ostrym tonem. - Idź krokiem zdecydowanym, normalnym. I pod żadnym pozorem nie rozglądaj się na boki.

- A wy? - spytała.

- Zostanę tutaj. Będę udawał, że czekam, aż wypiorą się moje rzeczy. - Wrzucił monetę do automatu i uruchomił pralkę. - Idź już - ponaglił Liz. - A wy dwaj obejdziecie róg. Nie możecie sprawiać wrażenia idących razem.

Mulvaney i Spicer szybko opuścili pralnię. Gdyby ich tutaj zobaczyły kobiety, podniosłyby alarm. Liz spojrzała na Steve'a i po chwili też wyszła.

Parę sekund później Steve zobaczył dwóch mężczyzn opuszczających inwigilowane mieszkanie. Ruszyli w stronę samochodu stojącego na zakręcie ulicy. Na widok Mulvaneya i Spicera, a potem Liz, zwolnili kroku.

- Liz, tylko się nie odwracaj - niemal modlił się Steve, obserwując ją z pralni. - Idź przed siebie. Nie spoglądaj w ich stronę.

Ale Liz nie wiedziała, że podejrzani opuścili dom, że zobaczyli ją i zastanawiają się, co robiła w pralni. Nie wiedziała ponadto, że chwilę przedtem zaskoczył ich widok dwóch obcych mężczyzn w garniturach. Odwróciła się, aby sprawdzić, czy teren jest bezpieczny.

- Och, dziecko, nie...! - jęknął przerażony Steve.

- Gliny! - ryknął jeden z mężczyzn. Zaczął się wycofywać.

Liz usłyszała go i odruchowo sięgnęła po broń, ale podejrzany był szybszy. Steve wypadł z pralni.

- Na ziemię, Liz! - krzyknął.

Mężczyzna szybko odwrócił się i strzelił do niego. Trafił. Steve padł na kolana, a potem całym ciałem osunął się na chodnik.

Liz nacisnęła spust, ale było za późno. Podejrzany zdążył schronić się w budynku. Rzuciła się w stronę nieruchomego Steve'a.

Mulvaney i Spicer usłyszeli strzał. Zawrócili biegiem. Z pistoletem w ręku Spicer osłaniał Mulvaneya, który pomagał Liz wciągnąć Steve'a do pralni, żeby usunąć go z pola ostrzału.

- Dzwon po karetkę - warknęła Liz.

Mulvaney użył swego telefonu komórkowego, a potem usiadł na podłodze obok Liz.



- Co z nim? - spytał.

- Nie... nie wiem. - Starła się powstrzymać drżenie rąk, żeby móc przystąpić do reanimacji. Potrzebna była jej pomoc. - Dostał w plecy. Krwawi obficie. Muszę być ostrożna, żeby nie pogorszyć jego stanu... - Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna.

Mulvaney dołączył do Spicera, który czuwał przy oknie.

Liz nachyliła się nad Steve'em. Miał coraz słabszy oddech. Przerwała reanimowanie, żeby nie pogorszyć obrażeń wewnętrznych, gdyż nie wiedziała, gdzie utkwiała kula. Z oddali dobiegł zawodzący głos syreny. Nadjeżdżała karetka. Zaraz Steve znajdzie się pod fachową opieką.

Liz objęła go za głowę.

- Kochany, trzymaj się - szepnęła. Leżał nieruchomo. Z jej oczu popłynęły łzy. - Kocham cię i zawsze będę kochała.

Jak z oddali słyszał głos Liz. Gdzie była? Musiał wyjaśnić. ..

- Marla...

W pierwszej chwili Liz nie zrozumiała, co wyszeptał. Dopiero gdy powtórzył, rozpoznała imię kobiety z Kalifornii. Głowa opadła Steve'owi na bok. Nadal płacząc, Liz trzymała go w objęciach. Przynęła wargi do jego ucha i powtarzała, że go kocha, usiłując nie myśleć o tym, że wzywał inną kobietę.

Być może było to jego ostatnie tchnienie.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Nie będę jadła - oświadczyła Carol, odsuwając pizzę, którą zamówiła Liz. Od chwili rozpoczęcia pracy w patrolu zaczęła bardziej dbać o kondycję fizyczną i zdrowe odżywianie.

Liz sięgnęła po pizzę, ale cofnęła rękę. Odeszła jej ochota na jedzenie.

- Czemu bez przerwy milczysz? - Carol westchnęła. - Przejechałam taki kawał drogi, aby powiedzieć ci, że Steve się wylize i że chce cię zobaczyć, a ty siedzisz tu beczynnienie. Jest przecież twoim partnerem.

- Już nie.

- Od kiedy? - zdziwiła się Carol. - Dlaczego? Mówiłaś, że świetnie pracuje się wam razem. I z tego, co słyszałam, mogę wnioskować, że uratował ci życie, bo wziął na siebie kulę przeznaczoną dla ciebie. A ty co? Gdzie się podziała twoja wdzięczność? I nie zamierzasz odwiedzić Steve'a pierwszego dnia po opuszczeniu przez niego oddziału intensywnej opieki medycznej? Co z tobą, Liz? Chodzi o tę Barbie z Kalifornii? Mam rację? Puściła go kantem, a teraz on do niej wraca?

- Nic nie wiem na ten temat - wyjąkała Liz.

Pewne było tylko jedno. Przed przybyciem karetki Steve wymówił przy niej imię: Marla.

- Dlaczego nie chcesz odwiedzić go w szpitalu?

- Z czysto osobistych względów.

- Coś was łączy, mam rację? Po służbie nigdy nie byłaś uchwytana, nie dzwoniłaś i nie odpowiadałaś na telefony. Byłaś z nim, bo się zakochałaś. A tu nagle w życiu Steve'a ponownie zjawiała się Barbie.
  - Carol, nie chcę rozmawiać na ten temat.
  - Chwileczkę. Jeśli to prawda, to dlaczego ani razu nie było Barbie w szpitalu? Odwiedzali go tylko koledzy z pracy. Wiem, bo słyszałam, jak ktoś mówił, że Steve nie ma żadnej rodziny.
  - Ma na imię Marla, a nie Barbie - sprostowała Liz. - Carol, potrzebuję twojej pomocy. Wyprowadzam się z tego mieszkania i nie mogę od razu znaleźć nowego. Czy mogę pomieszkać u ciebie przez jakiś czas? Będę dzieliła z tobą wszystkie wydatki, komorne i całą resztę.
  - Co się z tobą dzieje? - spytała zdumiona Carol.
  - Rzucam pracę w policji.
  - Nie wierzę. Jezu, co zaszło między tobą a Millerem? Liz chętnie by się wypląkała, ale musiała być ostrożna.
  - Postanowiłam zostać kuratorem sądowym.
  - Serio?
  - Tak. Przekonałam się, że ta praca bardzo mi odpowiada. Pomagając Alanowi Bookerowi, czułam się wspianiale. Czy wiesz, że ich córeczka będzie nosiła moje imię? Przedtem jednak muszę odbyć szkolenie. Mieszkasz w pobliżu szkoły, więc od ciebie będę miała blisko na zajęcia. Rozmawiałam już w sprawie zatrudnienia. Zgodzili się, że dopóki nie dostanę dyplomu, będę pracowała na pół etatu jako asystent kuratora.
  - Co na to powie twój tata? Mówiłaś mu o tym?
- Liz skinęła głową. Rozmowa z ojcem wcale nie była tak dramatyczna, jak się spodziewała. Sądził pewnie, że decyzja córki ma ścisły związek z wydarzeniami, w których mogła

postradać życie. Przed trzema tygodniami całą sprawę ze szczegółami opisywały wszystkie gazety. Na miejsce przybył oddział specjalny, który gazem łzawiącym zmusił podejrzanych do poddania się. Oprócz Steve'a nie było innych rannych. On sam dostał pochwałę za to, że bronił partnera, ryzykując własne życie. Ojciec Liz zrozumiał, jak niebezpieczna jest jej praca i że niewiele brakowało, aby stracił córkę.

- Tata pogodził się z moją decyzją. Uznał, że powinnam robić to, co mi najbardziej odpowiada. A że zaginie rodzinna tradycja pracy w policji? Z tą myślą postara się pogodzić. Mama jest szczęśliwa. Skacze z radości.

- Ale twoja decyzja ma coś wspólnego z Millerem, prawda? - Carol drażnyła interesujący ją temat. - To, że wrócił do poprzedniej dziewczyny, musiało bardzo cię zabołec. I teraz uważasz, że nie byłabyś w stanie pracować razem z nim.

Do pokoju wsunął się Tom. Zamruczał, żeby zwrócić na siebie uwagę. Liz przypomniały się cudowne chwile spędzone ze Steve'em i wzajemne wyznania...

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze, dopóki nie dotarły do niej następne słowa Carol:

- Zakochałaś się w tym człowieku. A teraz opowiadaj wszystko, od samego początku, bo w przeciwnym razie będziesz musiała znaleźć sobie inną norę do mieszkania i lizania ran.

- Zakochałam się w Stevie - wyznała Liz. - Ale on kocha Marłę. Pytałam go o nią, gdy usłyszałam od ciebie o istnieniu dziewczyny w Kalifornii, przez którą opuścił Los Angeles. Wszystkiemu zaprzeczył.

- Wstrętny kłamca. Nadal jednak uważam, że powinnaś o niego walczyć. Kiedy o ciebie zapyta...

- To nie mnie wzywał, gdy sądził, że umiera!

- Wymienił Barbie?

- Marłę - poprawiła Liz. - Dwukrotnie wymówił to imię.
- Co z tego? - Carol wzruszyła ramionami. - Rozumiem teraz, dlaczego go nie odwiedzasz. I nie krytykuję twojej decyzji odejścia z policji. Ale nie chciałabym znaleźć się w pobliżu Millera, bo mogłabym zdrowo mu przyłożyć.
- Chyba z tą kobietą wróci do Kalifornii.
- Nadal nie wiemy, dlaczego nie pojawiła się w szpitalu, gdy był w stanie krytycznym.
- To nieistotne. Muszę wybić sobie z głowy tego człowieka.
- Wyjaśnij mi jeszcze parę rzeczy. Jak zachowywał się, zanim zaczęła się strzelanina? Przeprosił cię?
- Nie było czasu. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. - Liz otarła łzy.
- Steve uratował mi życie i jestem mu za to wdzięczna. Ale chcę znaleźć się jak najdalej od niego. Rozpocząć wszystko od nowa i nie spoglądać wstecz.
- Jeśli naprawdę tego sobie życzysz, to ci pomogę. Kiedy zamierzasz pakować rzeczy?
- Od razu. Czynniki mam zapłacony do pierwszego, ale chcę wynieść się stąd wcześniej. Obawiam się, że Steve'a opadną wyrzuty sumienia i będzie chciał mnie odszukać, aby przeprosić. A ja nie zamierzam wysłuchiwać dalszych kłamstw. Nie zostawię nowego adresu, a Walt Rogan zapewnił mnie, że zabezpieczy moje akta personalne, tak że nikt nie będzie miał do nich dostępu i nie dowie się, gdzie mnie szukać.
- Jak wyjaśniłaś Roganowi, dlaczego na tym ci zależy? Przyznałaś się do związku z Millerem?
- Nie. Szef nie prosił o wyjaśnienie. Chyba uznał, że za bardzo przeżyłam strzelaninę i dlatego chcę odejść z policji. Nie namawiał, żebym została. Dałam mu do zrozumienia, że moja decyzja jest nieodwołalna.

Carol zamyśliła się na chwilę. Spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

- Czy jesteś absolutnie pewna słuszności swojego postępowania? Nie chciałaś odwiedzić Steve'a w szpitalu, wysłuchać, co ma do powiedzenia, a potem oświadczyć mu, żeby poszedł do diabła?

- Chciałam - przyznała Liz. - Trzymając Steve'a w ramionach, kiedy leżał ranny, powiedziałam, że go kocham. Po raz pierwszy. Nigdy przedtem nie padały między nami tak ważne słowa. Sądziłam, że umiera, więc chciałam, aby wiedział, co do niego czuję. I właśnie wtedy wymówił imię tamtej kobiety - głos Liz załamał się niebezpiecznie - zaraz po tym, jak wyznałam mu miłość.

Steve leżał w szpitalnym łóżku z głową opartą na poduszkach. Nie tknął przyniesionego mu obiadu.

- Jeśli nie będziesz jadł, nie odzyskasz sił - tłumaczył mu Mulvaney. Siedział obok łóżka kolegi. Przyniósł kilka różnych czasopism, które dała mu żona, twierdząc, że powinny trochę rozerwać chorego. - Zobaczysz, zrobią ci dziś kroplówkę.

Steve nie odzyskał apetytu. Kulę usunięto wraz ze śledzioną, ale lekarze zapewnili go, że bez tego organu będzie funkcjonował poprawnie.

Usłyszał również, że mniej więcej za miesiąc będzie mógł wrócić do noimalnej pracy. Tak więc dopisało mu szczęście i był wdzięczny losowi za to, że przeżył, a jedyną rzeczą, która go martwiła, był brak wiadomości od Liz.

- Jak ma się Casey? - spytał Mulvaneya, nadal pilnując się, aby nie zdradzić ich zażyłości.

Żeby uniknąć spojrzenia Steve'a, Mulvaney skupił wzrok na obrazku wiszącym na ścianie.

- Chyba dobrze.

Steve spróbował wyżej unieść głowę, ale mu się to nie udało.

- Chyba? Na pewno ciężko pracuje. Przecież minęły już trzy tygodnie. Miała czas, żeby się uspokoić. Jest silna.

- Tak, jest. Już się uspokoiła.

- Zastanawiam się, dlaczego nie przyszła mnie odwiedzić. - Nieobecność Liz niepokoiła Steve'a coraz bardziej. Gdy tylko miał okazję, dzwonił do niej, ale telefon nie odpowiadał, a automatyczna sekretarka była wyłączona.

Mulvaney wskazał przyniesione czasopisma.

- Może chcesz inne? - zapytał. - Daj tylko wykaz...

- Nie mam ochoty na czytanie - mruknął Steve. - Chcę wiedzieć, co dzieje się z Casey i dlaczego do mnie nie przyszła.

Mulvaney ponownie odwrócił wzrok.

- Sam będziesz musiał ją zapytać. Ja nie wiem nic.

- Kiedy ją widziałeś? Naprawdę dziwne, że do tej pory nie znalazła chwili czasu, aby odwiedzić partnera. Zwłaszcza że to za nią nadstawiałem karku. - Steve był tak rozgoryczony, że mimo woli wyrwało mu się końcowe zdanie.

- Ostatni raz widziałem Casey tydzień po wypadku. Przyszła opróżnić biurko i szafkę.

Steve spróbował unieść się na łóżku, lecz natychmiast sparaliżował go ból. Ledwie go pokonał.

- Przeniosła się do innego wydziału?

- Nie mam pojęcia. Nikt oprócz Rogana nie wie, co się z nią dzieje.

Może wróciła do Montgomery i tam pracuje wraz z ojcem? A może w ogóle rzuciła policyjną robotę? Kto ją tam wie. Na takie wypadki ludzie reagują rozmaicie. Sam mówiłeś, że odciągnąłeś od niej uwagę strzelającą i jego kula o mało cię nie zabiła. Może Casey za bardzo się tym

przejęła. - Mulvaney podniósł się z krzesła. - Na mnie już czas. Umówiłem się z żoną w centrum handlowym. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nic. - Steve opadł ciężko na poduszki.

- Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebował.

- Dobrze. Dziękuję.

Po wyjściu Mulvaneya Steve zagryzł zęby. Co działo się z Liz? Nie dała mu nawet szansy wyjaśnienia, kim jest Marla. To, że szeptała, iż go kocha, musiało mu się tylko wydawać. Z wizyty Marli wyciągnęła błędne wnioski. Dlatego była wtedy na niego taka wściekła.

Do pokoju weszła pielęgniarka. Zobaczywszy nie zjedzony posiłek, ofuknęła pacjenta.

- Jeśli nie zabierze się pan do jedzenia, dam panu kroplówkę.

Steve sięgnął po tackę i zaczął powoli jeść.

- Niech pani to robi - mruknął. - Muszę odzyskać siły, żeby jak najszybciej opuścić szpital.

Pielęgniarka uśmiechnęła się i poszła. Steve zjadł cały posiłek. Marzył o tym, aby wreszcie zobaczyć się z kobietą, którą kochał całym sercem i z którą pragnął się ożenić.

Nie pozwoli jej odejść, zanim ona o tym się dowie.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Ode mnie niczego pan się nie dowie - powiedział Rogan do Millera. - Casey miała swoje powody, żeby prosić o zachowanie dyskrecji.

- Do licha, przecież byłem jej partnerem - przekonywał zwierzchnika Steve. - Mam prawo wiedzieć, gdzie się znajduje.

- Już nie jest pan jej partnerem. Rzuciła służbę.

Przez następne dziesięć minut Steve prosił i błagał Rogana o informację o Liz. Szef był jego jedyną nadzieją. W domu, w którym mieszkała, powiedziano Steve'owi, że się wyprowadziła i nie podała nowego adresu. Jej telefon został odłączony bez żadnej informacji o zmianie numeru. Zdesperowany, zadzwonił nawet na policję w Montgomery, żeby porozmawiać z ojcem Liz, ale powiedziano mu, że sierżant wraz z żoną pojechał na dwutygodniowy urlop.

Nie poddając się, Steve znów zaczął męczyć Rogana.

- Proszę mi tylko powiedzieć, czy Casey jest w mieście, czy też stąd wyjechała. To chyba może pan zrobić dla mnie.

- Przykro mi, ale nie mogę. Miller, przestań wreszcie interesować się tą dziewczyną. Niebawem dostaniesz nowego partnera.

- Och, jeszcze nie teraz - zaprotestował Steve. - Bardzo proszę, szefie, niech pan mi da kilka dni. Muszę odnaleźć Casey.

- W porządku. Proszę zrobić to, co pan musi, i zaraz

potem wracać do pracy. To podobno najlepsze lekarstwo. Sam nigdy nie byłem ranny, ale słyszałem, że szybki powrót do normalnych zajęć to najlepsza terapia. Coś takiego, jak dosiąść konia, który cię zrzucił. Steve wrócił do biura. Nie było w nim już nikogo. Zabrał się do przeszukiwania szuflad Liz. Już przedtem sprawdził, że są puste, ale łudził się, że może natrafi na jakiś ślad.

- Miller, co z ciebie za wywiadowca - mamrotał do siebie. - Nie potrafisz nawet odnaleźć swojej partnerki.

Był przekonany, że wcześniej czy później to mu się uda. Znajdzie w komputerze nowy adres Liz, gdy będzie uaktualniała wpis do dowodu rejestracyjnego pojazdu. I, jeśli okaże się to konieczne, przejrzy wszystkie zapisy w każdym mieście stanu Alabama. Steve nie chciał jednak czekać. Wiedział, że im więcej czasu upłynie, zanim będzie mógł wszystko wyjaśnić, tym bardziej Liz oddali się od niego, z dnia na dzień mocniej rozgoryczona.

Musiał ją odszukać jeszcze z innego powodu.

Bez Liz nie potrafił już żyć.

Postanowił ponownie pomęczyć panią Barnes, u której mieszkała. Za pierwszym razem został odprawiony z kwitkiem, mimo że nawet pokazał swoją policyjną odznakę. Pani Barnes nie wiedziała, dokąd przeprowadziła się lokatorka. Oświadczyła Steve'owi, że gdyby nawet wiedziała, i tak nie podałyby jej adresu. Uważała go za Brudnego Harry'ego.

Wychodząc z posterunku, Steve natknął się nagle na Carol Batson. Nie zważając na to, że ma przed sobą rekonwalescenta, dziarska policjantka zaczęła okładać go pięściami. Przytrzymał jej rękę.

- Odejdź, Miller! - warknęła. - Bo zaraz ci porządnie przyłożę.

- Ja tylko chciałem zapytać o Liz Casey. Widziałem was razem w Barze Granatowych.

- No to co? - Carol hardo uniosła głowę. - Nie mam czasu na rozmowy. Jestem umówiona z szefem wydziału.

- Poczekam. Pozwól mi - poprosił Steve. - Powiedz, gdzie jest Liz. Muszę ją odnaleźć.

- Może ona sobie tego nie życzy.

- Muszę z nią porozmawiać. Powstało ogromne nieporozumienie, które wymaga wyjaśnienia. To sprawa bardzo ważna.

Carol, jak zwykle wścibska, wykorzystwała zdenerwowanie swego rozmówcy. Słodkim głosem zapytała:

- Jakie nieporozumienie? Co zrobiłeś, Miller, żeby tak bardzo dopiec Liz?

- Wolałbym o tym nie mówić.

- Wobec tego ode mnie nic nie usłyszysz.

Steve puścił rękę Carol. Dotknął jej ramienia. Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna uderzy go łokciem, ale tego nie zrobiła.

- Posłuchaj mnie. Od razu rozpoznam, kiedy ktoś przede mną coś ukrywa - oświadczył.

- Naprawdę? - Carol uniosła brwi. - Wrodzony talent czy też można się tego wyuczyć? - spytała drwiącym tonem.

- Nie bądź taka złośliwa.

- Nie jestem złośliwa. Mam powody, żeby wiedzieć, o co ci chodzi. Bo, widzisz...

- Nie interesują mnie twoje powody - z niecierpliwością przerwał jej Steve. - Powiedz tylko, gdzie jest Liz.

- Dlaczego miałabym to zrobić? Miller, ona ciebie nienawidzi. Za to, że ją okłamałeś.

- Tak. Zrobiłem to - przyznał się. - Miałem swoje po-

wody i mogę tylko liczyć na to, że Liz mnie wysłucha i zrozumie, dlatego tak postąpiłem.

- Kłamałeś, wypierając się przyjaciółki, którą zostawiłeś w Kalifornii. Widziałyśmy ją. Wygląda jak Barbie.

- Barbie? - Steve potrząsnął głową. Ta rozmowa chyba nie prowadziła do niczego. Na wszelki wypadek wyjaśnił: - To Marla Nivens. Nigdy nie była moją przyjaciółką. Jest natomiast siostrą kobiety, z którą byłem związany, ale ona nie żyje. To wszystko. Czy teraz pomożesz mi znaleźć Liz, tak abym mógł jej wszystko wytłumaczyć? Wcześniej czy później i tak ją odzyskam. Dobrze o tym wiesz. Ale możesz zaoszczędzić mi sporo czasu.

- Gdybym to zrobiła, Liz byłaby na mnie wściekła.

- Nie przyznam się, że dzięki tobie ją odnalazłem. Zgódź się, proszę. Co ci szkodzi?

- Pytasz, co mi szkodzi? - W oczach Carol pojawiły się groźne błyski. - Już wystarczająco skrzywdziłeś Liz. Nie chcę, żebyś zrobił to ponownie.

Steve wpił w Carol palący wzrok.

- Nie skrzywdzę Liz, bo kocham ją bardziej niż kogokolwiek innego na tym świecie. I chcę mieć szansę, aby jej o tym powiedzieć.

Usłyszawszy słowa Steve'a, Carol nie namyślała się ani chwili.

- Chodzi na kursy wieczorowe do szkoły im. Jeffersona. Kończy zajęcia około dziewiątej. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

Odwróciła się i szybko odeszła, zanim Steve zdołał zadać następne pytania.

Resztę dnia Steve spędził na liczeniu minut, które ciągnęły się w nieskończoność. Musiał dotrwać do dziewiątej wieczor-

rem. Godzinę wcześniej podjechał pod dom Mulvaneya i poprosił go o pożyczanie radiowozu. Mulvaney nie pytał, po co potrzebny mu wóz, a Steve, nawet zapytany, też by mu tego nie powiedział.

W szkole im. Jeffersona odbywało się wiele różnych zajęć. Znajdowała się na przedmieściu Birmingham. Punktualnie o dziewiątej Steve zaparkował radiowóz na poboczu głównej drogi prowadzącej na szkolne tereny.

Dziesięć minut później dostrzegł samochód Liz. Ruszył za nim, uruchomiwszy światła na dachu radiowozu.

Liz przystanęła. Steve zaparkował nie za nią, jak to zwykle robi policja, lecz zajechał jej drogę, tak aby utrudnić ewentualną ucieczkę, gdyby go rozpoznała i rozłoszczona nie chciała z nim rozmawiać.

Było ciemno, więc nie mogła rozpoznać twarzy policjanta, który ją zatrzymał.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny - zażądał oschłym tonem, stając przy oknie wozu Liz od strony kierowcy.

- Najpierw proszę pokazać mi odznakę - powiedziała. - Nie ma pan na sobie munduru.

- Jestem tajniakiem. Okaże mi pani dokumenty? Dopiero w tej chwili Liz rozpoznała znajomy głos. Wychyliła się przez okno, żeby przyjrzeć się zatrzymującemu ją mężczyźnie.

- Steve. Jak udało ci się mnie...

- To nie ma znaczenia. - Nachylił się, tak że ich oczy znalazły się na jednym poziomie. - Musiałem cię odnaleźć. I wyjaśnić, dlaczego okłamałem cię, mówiąc o Kalifornii.

Liz położyła dłonie na kierownicy. Wyprostowana, patrzyła prosto przed siebie.

- To nie ma znaczenia.

- Ma, bo kocham cię. Ciebie jedyną. Czy o tym nie wiesz?

Zobaczył, jak niepewnym ruchem Liz uruchamia zapłon silnika.

- Marla Nivens jest siostrą mojej byłej partnerki, która pewnej nocy została zabita podczas akcji. Obwinałem się o jej śmierć. Wyjechałem z Kalifornii, żeby uciec od przeszłości.

Liz krzyknęła z wściekłością:

- Ale kiedy mówiłam, jak bardzo cię kocham, wymawiałeś imię innej kobiety! Marli.

- A więc to nie był sen. - Steve uśmiechnął się, nie zważając na rozłoszczoną Liz. - Słyszałem twój głos jak przez mgłę. Chciałem ci koniecznie powiedzieć, że Marla nic dla mnie nie znaczy. Widocznie dlatego wymówiłem jej imię.

Liz zdjęła rękę ze stacyjki. Spojrzała na Steve'a. Ledwie powstrzymała się od płaczu.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- Sam musiałem najpierw się z tym uporać - wyznał z żalospną miną. - Teraz już wiem, że kiedy po raz pierwszy spytałaś mnie, czy w Kalifornii zostawiłem dziewczynę, powinienem powiedzieć ci prawdę. Ktoś tutaj dobrał się do moich papierów. Jest w nich informacja, że mój partner zginął podczas akcji.

- Kim naprawdę była dla ciebie ta kobieta?

- Sądziłem, że ją kocham. Dlatego tak bardzo broniłem się przed uczuciem do ciebie. Przysiągłem sobie, że nigdy więcej nie zwiążę się z kobietą, z którą pracuję. Po tym, co stało się w Los Angeles, nie chciałem mieć kobiety za partnera. Miałeś rację, traktowałem cię źle. Chciałem wykazać twoją niekompetencję, ale się zakochałem...

- Och, Steve, gdybyś mi to wszystko powiedział... -W oczach Liz za-  
lśniły łzy.

- Możesz mi przebaczyć? Kocham cię i pragnę, abyśmy byli razem.

- Jako partnerzy? - Liz potrząsnęła głową. - To niemożliwe. Zmieniam  
zawód. Chcę zostać kuratorem sądowym, bo ta praca bardziej mi od-  
powiada.

- Będziesz znakomita w tej roli. Ale gdybyś nadal chciała pracować  
jako wywiadowca, nie miałbym nic przeciwko temu. Nie protestował-  
bym - oświadczył Steve.

Liz tak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa...:

Pierwszy oprzytomniał Steve.

- Jedźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać - zapropo-  
nował.

- Nie mam już własnego mieszkania-powiedziała Liz.

- Wiem. Ale ja mam. Mamie też tęskni do ciebie.

- No to ruszaj pierwszy. A co z moim mandatem? Nie zamierzasz go  
wypisać? - spytała ze śmiechem. ;

- Nie - odrzekł. - Ale za to dam ci przepustkę do najszcześniejszej przy-  
szłości, jaką będę w stanie ci zapewnić - oświadczył z powagą.

## EPILOG

- Nie mam pojęcia, czemu wzywa nas szef wydziału - oznajmił Steve, wchodząc wraz z Liz na piętro budynku, w którym mieścił się posterunek. - Zwłaszcza że jest to mój pierwszy dzień po ponad miesięcznej przerwie, a ty już tu nie pracujesz.

- Lubię Rogana - oświadczyła Liz - i chętnie go zobaczę.

- Za romansowanie w pracy chce teraz za karę założyć nam kajdanki. Musiał usłyszeć o naszych zaręczynach.

Otworzyli drzwi i nagle znaleźli się w hałaśliwym tłumie kolegów, wśród balonów i confetti. Zorganizowano im zaręczynowe przyjęcie.

Do przybyłych podeszła rozradowana Carol.

- Zaskoczyliśmy was - oznajmiła z satysfakcją.

- Bardzo - przyznała Liz. - Byliśmy przekonani, że szef da nam reprimendę za romansowanie podczas pracy.

Carol zwróciła się do Steve'a:

- Rogan chce z tobą porozmawiać po przyjęciu. Musicie pokroić tori i...

- Moje gratulacje - usłyszeli głos szefa. - Kiedy ślub?

- Dopiero w czerwcu - odparła Liz. - Mój tata chce, żeby odbył się z wielką pompą.

- Doskonale. Przyjadę. - Rogan poklepał Steve'a po plecach. - Widzę, że już zdążył pan poznać swojego nowego partnera.

Steve spojrzał podejrzliwie na uszczęśliwioną Carol.



- Pan chyba... chyba nie... - zaczął się jąkać.
- Było wolne miejsce, a Batson tak świetnie radziła sobie w patrolu, że zaakceptowaliśmy jej podanie o awans.
- Liz zakryła dłonią usta, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem na widok zbaraniałej miny Steve'a.
- Szef miał ci o tym powiedzieć, kiedy tylko wyszedłeś ze szpitala, ale właśnie wtedy wydusiłeś ze mnie, gdzie jest Liz. Pamiętasz? - odezwała się Carol.
- Tak - potwierdził ponurym głosem. - A teraz, błagam, niech ktoś powie mi, że to tylko koszmarny sen i zaraz się przebudzę - dodał z jękiem.
- Przykro mi - Carol poklepała Steve'a po ramieniu - ale od tej pory tworzymy parę. Ja i ty, Brudny Harry.
- Gdy odeszła w towarzystwie Rogana, Liz szepnęła do Steve'a:
- Carol się myli. Od tej pory my tworzymy parę. Ty i ja.
- To fakt - przyznał i wziął Liz w objęcia. - Teraz już nigdzie nie będę miał nic do gadania.
- Kiedy ją całował, zebrani ponownie zaczęli wiwatować na cześć narzeczonych.
- Gliniarze i całusy - mruknął szef wydziału, obserwując zakochaną parę. - To chyba nie takie złe połączenie.